WPŁYW KOBIETY.

WPŁYW KOBIETY

dramat w 7 odsłonach

napisany przez

Juliana Zubczewskiego.

WE LWOWIE.
NAKŁADEM AUTORA.
1902.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie.

OSOBY:

KAZIMIERZ, profesor gimnazyalny
MARYA, jego żona
ZOSIA, siostrzenica profesora
JÓZEF KŁOPOCKI,
GUSTAW, brat jego, uczeń VIII. kl. gimnazyalnej
GERTRUDA, ich matka
HENRYK, przyjaciel profesora i były kolega szkolny
KAMILA, } nauczycielki
BRONISŁAWA }
PIERWSZY UCZEŃ } koledzy Gustawa
DRUGI " }
ZDZISIA }
ANIELCIA }
WANDZIA }
WIKCIA }
HELA } dzieci
JADWISIA }
CESIA }
GENIA }
KASIA, służąca profesorstwa
MAGDUSIA, służąca nauczycielek
LISTONOSZ,
POSŁUGACZ PUBLICZNY.

Uczniowie, koledzy Gustawa.

Rzecz dzieje się w czasach dzisiejszych.

ODSŁONA I.

SCENA I.

W domu profesora Kazimierza. — Pokój.

KAZIMIERZ, HENRYK, później JÓZEF.

KAZIMIERZ.

Et, trawi się człowiek i koniec... Pamiętasz — jak to czytywaliśmy wspólnie na wolnem powietrzu — rozmarzeni, zapatrzeni w dal, pieśni Heinego. Cynik okropny... ale chwyta za serce, prawie dławi. Tak jak w życiu — coś się rwie w nas, coś dławi!.. Chciałoby się dokonać rzeczy jakiejś wielkiej — bardzo wielkiej! Każdy wyciąga konsekwencye na swój sposób. Nas poezya wynosiła w przyszłości na królów — więcej niż królów, najpierw dla sławy, potem dla szczęścia drugich: no i czem dziś jesteśmy?

HENRYK.

Zjadacze chleba!

KAZIMIERZ.

Przeklęta rzecz — dla chleba zaprzedać się w niewolę! Ba, co tobie — ty jesteś kawaler!

HENRYK.

A ja ci razdroszczę, żeś żonaty!

KAZIMIERZ.

Zapewne, zapewne...

HENRYK.

Piszesz co?

KAZIMIERZ.

O, czemuż nie — bardzo dużo piszę sprawozdań, katalogów, przygotowań do wykładów, listów w interesach! Piszę — czemuż nie!

HENRYK.

Nie masz czasu dla muzy — zawód nie pozwala. A przecież — w twoim zawodzie — możnaby przypuszczać, jeszcze najprędzej pomieścić się da — bodaj kątem — praca autorska.

KAZIMIERZ.

Niestety — tak i ja myślałem! I popełniłem zbrodnię! Obraziłem królowę — chcąc ją w kącie umieścić, jako sługę bożka chleba! Umknęła z pogardą odemnie.

Wszystko — tu — (wskazuje na serce) zwiędło i nie wiem, czy już kiedy odżyje! Za to — być może — dosłużę się... złotego kołnierza!

HENRYK.

Więc nie rad jesteś z twego zawodu?... Bo ja — no i ja inaczej marzyłem... Świat daleki

zwiedzić, przygód zaznać, majątek zrobić wielki: poszło zaś dość powszednio. Jestem, jak tysiące innych, urzędnikiem! Jużto u nas nie ma wiele fantazyi w wyborze zawodu! Ale — ostatecznie zaczynam się dość godzić z losem... i... zamyślam się niebawem ożenić.

KAZIMIERZ.

U nas jest tak długo fantazya, jak długo jest ktoś, kto na fantazyę da pieniądze. Jak przyjdzie samemu płynąć, odwaga znika w pięty. Przepraszam cię, że tak weredycznie gadam; ale mam do ciebie żal. Co z nas będzie, jeśli zaczniemy się godzić ze wszystkiem. Naturalnie, że godzisz się równocześnie z małżeństwem tylko dla majątku — albo... protekcyi; to przecież artykuł wiary dzisiejszej.

HENRYK.

Właściwie — ożenienie jest u mnie w teoryi dopiero postanowione — osoby nie znam. Wątpię, czybym dziś potrafił się naprawdę zakochać, więc... pójdę za latarką rozsądku!

KAZIMIERZ.

Człowiecze! i ty to nazywasz rozsądnem? Podróż przez całe życie z towarzyszem, którego nie kochasz?! Alboś ty się wynaturzył zupełnie... albo... broń Cię Boże!... A jest że to teoretyczne postanowienie twoje — ta urojona małżonka — choć do ludzi podobna i ma ona światło w głowie? Ma ona Boga w sercu i jakie ideały poważniejsze od zabaw i mody? Czy nie

zechce, byś poza nią świata nie widział lub czy nie będzie hysteryczką, która cię kaprysami zamęczy? No, no, Henryku, umiałeś się zżyć z duchem czasu!

HENRYK.

A któż kiedy wiedział naprzód jaką jego żona będzie?... Miłość, powiesz,... daj pokój... widziałem małżeństwa z miłości... W poezyi to ładnie wygląda, bo poezya zamyka drzwi tam, gdzie życie się dopiero zaczyna.

Na sto miłości — dziewięćdziesiąt dziewięć jest ułudą!

KAZIMIERZ.

Może ty masz po ludzku i słuszność, a jednak... jednak miłość jest i tylko miłość może być podstawą dobrego małżeństwa, tak, jak miłość tylko może być podstawą wszelkiego szczęścia, wszelkiego dobra. Ona jest życiem — gdzie jej nie ma — tam śmierć! Ona jest niebem — ona jest wszechmocą!

Stare bajki, — prawda? Banalne frazesy!

HENRYK.

W twoich ustach nie!

KAZIMIERZ.

O tak, to jest moja siła — że w słowach drga prawda serca!

O tak — jam się jeszcze nie pogodził z jarzmem! Nie daję się!... Pióro zasnęło... ale chcę być poetą czynu! Pedagogiem-poetą, pedagogiem-człowiekiem.

Nietylko światłem młodzież przenikać, ale i ciepłem rozpalać!

W górę ciągnąć — siły na zamiary mierzyć centaury dusić!!

Co za duma powiesz — co za zarozumiałość! Nie Henryku, chcę! za siebie — za stu innych sam chcę. Mało kto chce; więc ja, więc ty, musimy chcieć za wielu!

HENRYK.

A cóż masz przeciw małżeństwu?

KAZIMIERZ.

Nic, owszem! Na cóż są młodzi obojej płci? Przecież nie na zasuszanie do muzeów!... Zawsze sobie myślę, że to stan chorobliwy — tyle starokawalerstwa i staropanieństwa! Ale niechże związki małżeńskie będą naturalne — jak Bóg przykazał. — Et! świat — cywilizacya, zrobiły z małżeństwa problemat — prawie nie do rozwiązania i to tylko mam przeciw małżeństwu!

Mężczyzna, czy młodzieniec, dał sobie jakieś prawa moralne odrębne.

Pannom także poprzewracały głowy mamy i papy i Bóg wie kto i co: no i co z tego wynika? Albo nie ma małżeństw, albo te, co są — są niemożliwe, złe, gorszące! Wiesz ty — ten upadek rodzin, to najsmutniejsza strona nowoczesnego społeczeństwa, a już u nas, to po prostu... śmierć!

SCENA II.

(W czasie ostatnich słów wszedł Józef).

JÓZEF.

Nie próżno ja się boję! Dzień dobry! (witają się z Kazimierzem). A pokusa jest... Panie Kazimierzu, ja nie pozwalałem sobie na osobne prawa, to też serce pragnie kochać; ale boję się!... A pokusa jest! Niech mię pan przedstawi.

KAZIMIERZ (przedstawiając).

Nasz najzwyklejszy gość preferansowy; sąsiad bliski dwóch istot niewieścich: jednej — bardzo powabnej, drugiej — dobrej i rozumnej. No i także — urzędnik! Dla odmiany pocztowy! Pan Józef Kłopocki, — mój kolega szkolny. Henryk Sumnicki.

JÓZEF.

Kawałek chleba pewny: tak zawsze mówi mój ojciec. Urzędnik — to stanowisko, władza, inteligencya, dodaje matka. Byłem tylko posłusznym synem!

KAZIMIERZ.

Nie dziw się Henryku temu wyjaśnieniu, bo pan Józef istotnie jest wzorowym synem.

HENRYK.

Z tego wszystkiego najwięcej panu zazdroszczę przyjemnego sąsiedztwa

JÓZEF.

Et, pokusa!

HENRYK.

I silna, kiedy pan nie chce od niej uciec!

JÓZEF.

Jak uciec, kiedy te panie mieszkają u nas, t. j. odnajmują pokój od rodziców. Musiałyby one uciec...

KAZIMIERZ.

Ale jakoś nie chcą, bo też im tam dobrze! Ot panie Józefie — zdecydować się raz i koniec!

SCENA III.

(Wchodzi żona profesora, Marya nakrywa stół i przygotowuje przyjęcie).

MARYA.

Zapewne, panna Kamila ładna panna!

JÓZEF (całując w rękę Maryę). Szczera prawda Pani Dobrodziejko, że ładna! Ale...

MARYA.

Jakie ale?

JÓZEF.

.... Oczy ma dziwne — takie dziwne, takie zmienne, takie tajemnicze! No i.., ale to nie wypada obmawiać — nie wypada!... Preferans będzie Panie Kazimierzu?

KAZIMIERZ.

Henryk nas weźmie za mamutów, kto dziś gra preferansa?

MARYA.

Pan Henryk — jako przyrodnik, bo górnik, to przyrodnik, prawda Kaziu? umie cenić mamuty.

HENRYK.

Wy mnie w kąt zapędzacie panowie, bo ja i preferansa nie umiem. W karty wogóle niechętnie grywam i niezręcznie.

JÓZEF.

Ja czytuję wprawdzie różne — i najnowsze nawet — pomysły literackie; nie gardzę dziennikiem żadnej barwy. Powiem nawet, że te modne historye w duszy mi zmieniły strasznie umeblowanie. Czy na lepsze? Pan Kazimierz lepiej to wie odemnie, bo dawno nazwał mię zrzędą i sceptykiem! Ale w życiu — dzięki przyzwyczajeniu — jestem konserwatystą: codzień wstaję o tej samej godzinie i tak samo spać idę w oznaczonej porze. Co ma stać u mnie stoi, co wisieć wisi, a co leżeć leży i to tam, gdzie jego miejsce. Jem codzień to samo, chodzę w tę samą stronę na spacer, odwiedzam te same domy i uważam, że najlepszym środkiem spędzenia przyjemnie czasu w niedzielę wieczorem — jest preferans u państwa Kazimierzów. Wogóle łączę się z tymi, którzy uważają karty za bardzo dobry środek towarzyski, o ile nie staje się nałogiem, a nawet namiętnością i nie rujnuje człowieka.

(Marya kilka razy się wydalała i przynosiła różne artykuły spożywcze).

MARYA.

Niechże panowie przed kartami przekąszą. (Siadają, jedzą i piją).

KAZIMIERZ.

A gdzież jest Zosia?

MARYA.

Nie dała mi spokoju; Cieszy się, żeś jej przyrzekł lekcye fortepianu z panną Kamilą i poleciała do niej podzielić się wiadomością. Powinnaby już wrócić, zresztą za chwilkę poszlę służącą.

KAZIMIERZ.

A może panna Kamila nie przyjmie lekcyi?

JÓZEF.

Ależ przejmie, przyjmie z pewnością. Raczej porzuci inną jaką... Ona państwa bardzo lubi.

HENRYK.

Miła panienka ta Zosia.

KAZIMIERZ.

Dziecko jeszcze, ma zaledwie 11-sty rok, siostrzeniczka moja, sierotka, a taka przywiązana, jak rodzona córka. Nie mamy własnych dzieci, więc prosty obowiązek wychować społeczeństwu inne, gdy się może; wychować, jak własne. Może to dlatego człowiek i w szkole uważa tych chłopców... za swoich i to tak serdecznie swoich!... Jak bo to nie kochać, kiedy młodzież poczciwa... kocha także... i jak! Mó-

wią wprawdzie koledzy czasem, że to urwisze, nicponie, próżniaki i osły; ale ja się nie godzę na to! Z młodzieży można — z małymi wyjątkami — wszystko zrobić; daj im tylko serce!

HENRYK.

A wiesz, już dlatego warto się żenić, by dzieci mogły mieć takich wychowawców! Wiwat Profesor!

JÓZEF.

i Pani Profesorowa, bo to prawa ręka męża!

SCENA IV.

(W czasie toastu wchodzą Zosia. Kamila i druga nauczycielka Bronisława).

MARYA.

Kazio mój — mądry, poetyczny, a ja parafianka. Jemu prawą ręką mogłaby być: Panna Kamila, albo Bronisława.

Ja... umiem dobrze rzodkiew przysposobić panu Józefowi i dlatego... toastuje aż na mnie!

KAZIMIERZ.

Moja żona zawsze chce, ażebym — przecząc — chwalił ją. Ależ tu sami znajomi, bo i Henryk, choć pierwszy raz cię dziś widzi — zna cię z listów moich, jeszcze nawet z czasów narzeczeństwa: Kogóż mam przekonywać i objaśniać?

KAMILA.

Ja przynajmniej przyłączam się szczerze do toastu pana Józefa.

BRONISŁAWA

I ja!

(Całują się kobiety, potem powitania z mężczyznami).

KAZIMIERZ.

Pozwolą Panie przedstawić sobie tego pana: Henryk Sumnicki, mój kolega szkolny, który po długich latach raczył mię dziś przypadkiem odwiedzić!

HENRYK.

W przejeździe. Cóż robić — służba nie drużba; ale powiedz — czy nie tęskniłem — czy moje listy mogłyby być czulsze nad te, które do Ciebie pisywałem?

KAZIMIERZ (przedstawiając dalej).

No, może mogłyby — do kogo innego... Miłe sąsiadki pana Józefa: — Panna Kamila — Panna Bronisława.

(Podają sobie ręce).

KAMILA.

Domyślam się, że tu była już o nas mowa!

ZOSIA, (która przez ten czas przywitała się pocałowaniem ręki z profesorstwem, podaniem zaś z Henrykiem i Józefem, następnie przystąpiła do Kamili i ciągle jej lewą rękę trzymała w swojej prawej, odzywa się nagle)

ZOSIA.

A była, była, bo już i pan kolega tatka wie, że pani mię będzie uczyć muzyki. Pani taka dobra, taka ładna.

MARYA.

Zosiu!

KAMILA.

Dobrze, że ją pani przywołuje do porządku! Moja ty figlarko. (Ściska i całuje Zosię).

MARYA.

Niechże panie siadają.

JÓZEF.

Oho! Już po preferansie!

KAZIMIERZ.

Złapano raz pana, trzeba od reguły odstąpić (do Zosi). Skądże ty wiesz Zosiu, że pani zechce cię uczyć?

ZOSIA.

Pani tak się ucieszyła tem, jak ja! Zaczęła ze mną skakać i klaskać w dłonie, aż panna Bronisława musiała nas obie uciszać.

KAMILA.

Niegrzeczna Zosieczko! — zdradzasz mię całkiem! Czekaj, czekaj!

BRONISŁAWA.

Zosiunia mówi prawdę. Dom państwa jest tak miły; wspomnienie, iż gospodarz jego był

kiedyś naszym profesorem, młodym jeszcze, a już tak dobrym profesorem; zresztą ta rzadka dzisiaj gościnność państwa, która wszystkich, nie tylko nas, podbija; czy to nie dostateczny powód, by się cieszyć ze ściślejszego zbliżenia! Ja, dlatego tylko, że nie mam temperamentu Kamilki, byłam wstrzemięźliwszą od niej w objawach radości.

JÓZEF.

A możeby preferansa, panie Kazimierzu! Panie tu będą sobie rozmawiały....

HENRYK.

Czy to pan chce się tak przed pokusą chronić?

JÓZEF.

Proszę mię nie zdradzać.

KAMILA.

A ładnie, ładnie panie Józefie — do tych szkaradnych kart uciekać! Ja nie rozumie, co w kartach może być przyjemnego?

JÓZEF.

Naturalnie, bo pani na grze się nie rozumie! Ja na odwrót nie rozumię, co może być przyjemnego we flircie?

(Marya z Bronisławą tymczasem rozmawiają ze sobą, Zosia do nich przychodzi, a potem wybiega).

KAMILA.

A cóż to jest flirt?

KAZIMIERZ.

Pani nie wie? A jednak pani doskonale flirtuje.

KAMILA.

W takim razie nie wiem co robię. A czy flirt jest zły, czy dobry?

KAZIMIERZ.

Zabawa, szermierka w swoim rodzaju! Turnieje, w które się wkłada całą zalotność, wdzięk we wszystkich możliwych stopniach i odcieniach, dowcip na jaki się zdobyć można: a tylko — serce zamyka się na wszystkie rygle! Biada marzycielowi, któryby śmiał o tem zapomnieć. Mógłby z zabawy wyjść nawet śmiertelnie raniony... i zginąć bez współczucia!

Niechże pani osądzi, czy to dobra zabawa?

JÓZEF.

O tak! Oczy się śmieją, usta nęcą, słowa ręce wyciągają, szepty obejmują, westchnienia żalą się, zadumy muskają swą poetyczną gazą, nawet przelotne, od niechcenia, uściski pieszczą. Wszystko obiecuje — wszystko magnetycznie ciągnie, prawie zmysłów pozbawia! Wszystko — fata morgana!

HENRYK.

To to te przewrotne pomysły literackie; boć przecież — zwykłe reguły — rozsadziłyby

się od takiego towarzystwa, jak wybuchający kartacz!

KAZIMIERZ.

Ja dalej jeszcze pójdę: Usta dotykają ust, ale niestety tych, które całować można, dając się domyślać, że pragnęłyby całować inne, których nie można!... We flircie broją najwięcej zagadkowe djabliki, szepcąc: domyśl się — domyśl!

MARYA.

Ależ Kaziu!

(Kamila, jakby mimowiednie, całuje w rękę Maryę i szybkim rzutem oczu spotyka przez chwilę wzrok Kazimierza).

JÓZEF (wyjmuje notatki i czyta):

„W tajemnych głębiach Twych oczu utonąć,
Ustami usta rozżarzyć i spłonąć...
Któż szał tych pieszczot słowami rozwoła?
Któż rozcałuje w nich całus anioła??...
Ach, ja o takim całusie marzyłem,
Dokąd i w oczy i w usta wierzyłem;
Takim, co dusze na zawsze już zwiera,
Takim, że człowiek go z życiem zabiera!

Dziś... co innego — dziś fantazya mała,
Zamiast dusz szeptu... — słyszy odgłos ciała!
Korale warg dwóch namiętnie się łączą,
Aż wszelką słodycz drżeń błogich wysączą!
Wnet czara próżna — kłamią jeszcze słowa,
Lecz ust dotyka, ledwie ust połowa!

Chłód cię ogarnia i aż cię to dziwi:
Że takiem głupstwem ludzie tak szczęśliwi!"

BRONISŁAWA.

Ależ, bo państwo najlepszy flirt uprawiacie! Co znaczy pedagogiczny talent! Widzisz Kamilciu, tak się uczy, — wiesz już teraz co to flirt? Pan Józef nawet o preferansie zapomniał. Widzi pan, że można się czasem sprzeniewierzyć regułom i znaleść przyjemność i — w nieprzyjemnem!

Ja zresztą podzielam zdanie pana. Flirt jest szkaradny, bo jest kłamstwem, a chce uchodzić za prawdę. Z chwilą, gdy się staje prawdą, nie jest flirtem, ale uczuciem, które tak się zdobi, jak może, tak ratuje, jak umie, ażeby serce ukoić...

Myślę, że byłoby nam czas pożegnać państwa... Przyszłyśmy oddać Zosię, podziękować za pamięć o nas, zobaczyć bodaj przez chwilę dobrych ludzi i tak pokrzepiwszy się — ruszyć nazad w drogę... do domku swego.

KAMILA.

Ach, tak nam tu dobrze, takby się nam nie chciało wracać... Chociaż pan gospodarz zarzucił mi, że tak srogo umię się bawić i może lubię, to jednak — nie gniewam się.

Wiem, że to także był flirt tylko!

(Zwraca trochę przeciągły wzrok na Kazimierza, Marya to spostrzega i Henryk).

Za to pan Józef wierzy we mnie; prawda? (Uśmiecha się do niego zalotnie).

JÓZEF.

Albo ja wiem? I tak — i nie! Oj, te oczy tajemne!...

KAMILA.

Bo pan chce w nich jakieś tajemnice widzieć! Najlepiej niech pan zapyta wyrocznię delficką o wyjaśnienie. — Poco się męczyć?

JÓZEF.

Namyślę się przez drogę! Panie pozwolą się odprowadzić — mamy ten sam dach nad sobą.

KAMILA.

A preferans?

JÓZEF.

Już późno; państwo znużeni: (pożegnania). (Bronisława, Kamila i Józef odchodzą).

SCENA V.

MARYA, KAZIMIERZ, HENRYK.

MARYA.

(Zbiera ze stołu częściowo i wychodzi — po chwili wraca ze służącą i dalej stół sprzątają).

KAZIMIERZ.

Jakżeż Ci się podobały?

HENRYK.

Panna Bronisława bardzo... Panna Kamila... ale mogę mówić?

KAZIMIERZ.

Proszę Cię.

HENRYK.

Ona już musi mieć różne grzechy na sumieniu!

KAZIMIERZ.

Tak myślisz?

HENRYK.

A ty nie?

KAZIMIERZ.

Ja? — Ja ją bardzo lubię! Ot biedna dziewczyna; ładna jest, dowcipna, wykształcona... Sama przez życie musi się przebijać... Ty wiesz, co to w naszem społeczeństwie jeszcze za trudy!

HENRYK (patrzy przez chwilę badawczo).

Tak! — To może z niejednego rozgrzeszyć ładne dziewczęta... przed ich sumieniem; ale widzisz — powiedziałem ci: ja już chodzę po ziemi, jak zwykły filister, więc i sądzę po filistersku!

KAZIMIERZ.

Nie ożeniłbyś się, gdzie choćby podejrzewasz i to może — bez żadnego powodu!

HENRYK.

I nie radziłbym nikomu...

KAZIMIERZ.

Tak myślisz? — To przychodzi mi w porę, bo Józef — gdyby go tylko popchnąć — oświad-

czyłby się Kamili. A tego popchnięcia pragnie od nas!

MARYA (która tymczasem skończyła sprzątanie)

Pokój gotowy. — Może pan Henryk zechce spocząć, jutro bardzo wcześnie odjeżdża, a prawie całą noc zeszłą nie spał.

KAZIMIERZ.

Idź! idź Henryku! Ja tam na chwilę jeszcze wpadnę do ciebie.
Po tak długiem niewidzeniu się — tak krótkie widzenie... chciałoby się wygadać naraz wszystko.

HENRYK.

Muszę być posłusznym. (Całuje w rękę Maryę). Do widzenia Kaziu (podają sobie ręce).

SCENA VI.

MARYA, KAZIMIERZ.

MARYA

Słyszałam — coście mówili. I ja zaczynam mieć skrupuły. Zaczyna mi się coś wyjaśniać w ludzkich gadaniach. Ludzie nie zajmują się kimś bez przyczyny, zwłaszcza jedną bez znaczenia panienką... Ja Józefowi już doradzać nie będę.

KAZIMIERZ.

Ale powiedzże mi Maryniu — skąd powód od razu?

MARYA.

.....Powód ten dawniej się począł — niż myślisz, a przynajmniej... Et, ty sam wiesz, — ja nie potrzebuję ci tłómaczyć!

KAZIMIERZ.

Maryniu, czemu ty mi wszystkiego zazdrościsz? Maryniu! czy to dobrze?

SCENA VII.

(Ci sami — wpada Zosia).

ZOSIA.

Przyszłam powiedzieć dobranoc, a będę miała ładne sny: będę —

MARYA.

Dajno spokój temu, bo może jeszcze nic nie będzie z tych lekcyi.

(Zosia posmutniała odrazu. W milczeniu całuje rękę Maryi, a potem Kazimierza).

KAZIMIERZ.

No, no, nie martw się dziecko. Mamcia tylko straszy — wszystko będzie dobrze! (Głaszcze jej włosy i całuje czoło, Zosia odchodzi).

Widzisz Maryniu — gotowabyś nawet przed dzieckiem się wygadać!

MARYA.

Dobranoc! Ot, lepiej, żebym była jej nigdy nie widziała! (Odchodzi).

Kazimierz patrzy za nią przez pewien czas, robi ruch, jakby chciał pójść — potem zamyśla się — otwiera okno — i patrzy w dal.

Słychać głos Henryka: Kaziu! Kazimierz wychodzi.

ZASŁONA SPADA.

ODSŁONA II.

SCENA I.

W domu rodziców Józefa: pokój obu nauczycielek.

BRONISŁAWA i KAMILA.

(Bronisława zajęta sprzątaniem, Kamila poprawą zadań — jakiś czas cisza).

KAMILA.

Ach, to nudne poprawianie zadań!... Dałoby się chyba porównać z rozmową z panem Józefem!

BRONISŁAWA.

A cóż będzie Kamilko, trzebaby tę sprawę do jakiegoś ładu doprowadzić (staje przed nią). Przecież ty widzisz chyba, że on w tobie mocno zakochany, że oświadczenie się o twą rękę z myśli mu nie schodzi, tylko przez usta przecisnąć się nie potrafi.

KAMILA.

Moja Broniu, ty stanowczo jesteś za poczciwą!

BRONISŁAWA.

Za poczciwym — chyba nigdy być nie można!

KAMILA.

Ależ bój się Boga, gdzieby się podziała radość życia, jakaś rozmaitość... nawet poezya?

Cóż w tem znowu tak złego, że dam się temu i owemu w sobie rozkochać? Czym ja temu zresztą winna?

Lecą do mnie, jak pszczoły do miodu, jak ćmy do światła. Czyż mam ich odpędzać koniecznie? Inną, nie ciebie, gotowabym doprawdy o zazdrość posądzić. — A zresztą — czy ja wiem? — możebym i przyjęła Józefa: człowiek, jak mówicie — prawy, stały, tylko... przyznasz, że — trochę nudny!

BRONISŁAWA.

Kamilko, ty jesteś ładną, a ładną być, to czasem kłopot kobiecie. Kobieta z natury jest istotą estetyczną i dla szczęścia ludzkości powinna nią pozostać, mimo wszelkich wyrzekań na chęć podobania się, na próżność i t. p. Ale... ten przymiot powinien jej służyć do podniesienia godności, a w następstwie do podniesienia wpływu dobrego na drugich. Pięknem i pięknością — jak świat światem — wpływać się będzie — nawet niepokonanie — oby tylko dobrze!... Ileż Bóg ci dał tego daru!! Tak... powiedziałam jednak, że to czasem kłopot.

Jeżeli się zakochamy w sobie, jeżeli celem uczynimy siebie: bożkiem, któremu mają bić pokłony i palić kadzidła...

Ba, ale dziejów cofnąć nie można. Dziś inne czasy. Dziś między ofiarnikami, chyba mało tak religijnych czcicieli piękna, jak pan Józef, a więcej — daleko więcej — łaknących rozkoszy i użycia!

A czy bóstwo czczone pewne, że zostanie marmurem?... Prawdziwie szlachetni padną niewinnie — czasem młokosi, czasem żonaci — a bóstwo padnie od tych, co skrupułów nie znają; padnie, bo i w niem zagra żądza, błyśnie iskra niezwalczonego płomienia.

KAMILA.

Traktaty moralno-filozoficzne, Broniu! Jeślibyśmy na tę drogę zeszły, to i jabym ci dużo kwestyi przytoczyła. Najpierw jest wielkie pytanie, czy etyka egoizmu nie jest najlepszą? Mnie przedewszystkiem... ja obchodzę, a w mojem ja największem jest piękno, a najpotężniejszem — pragnienie podbijania niem czy to w celu rozkosznego pastwienia się czy rozkosznego użycia. — Ja mam odwagę na wszelkie konsekwencye; łudzić świat — dokąd się da — tem, co on po staremu nazywa cnotą, w danym razie jednak powiedzieć nagą prawdę:

„Ja kobieta mam takie same prawa, jak wy mężczyźni!“

BRONISŁAWA.

A więc — wolna miłość? — A od kiedyż, Kamilko, prawdziwa etyka przyznała to prawo mężczyznom? Znać na tobie nie lada wpływy nowszej literatury, znać wpływy młodych lat, w których cię psuto w domu hołdami, znać i doświadczenie życia — niestety fałszywe, — w atmosferze niezdrowej i nieszczerej, w której prócz pochwał i zabiegów o twe względy, mniej lub więcej uwieńczonych skutkiem, nie było może i jednego obrazu rzetelnej życzliwości. Naturalnie! — Cóż kogo obchodzić mogła kobieta — sama, walcząca o byt, bez majątku?... (troskliwie). Moja siostrzyczko, z twoją wiarą w Boga prawdopodobnie także nie najlepiej?

KAMILA

Niepotrzebnie się rozczulasz i troszczysz zanadto. Jeżeli jednak chcesz, to ci powiem, że nie jedno robię tylko dla ludzi, dlatego, że stanowisko nauczycielki mię zmusza, ale wiesz sama, że się nie modlę, mimo, iż ty dajesz mi tak wzorowy ze siebie przykład! — O nie myśl, że mnie tak łatwo przekonać; ty umyślnie tak swojem klękaniem i modleniem rzucasz mi się w oczy, abym tak samo robiła! Nie trudź się... Nie wierzę w przyszłe życie — nie wierzę w nic!

BRONISŁAWA.

No, tośmy na poczekaniu dalej zaszły, niż myślałam. Ale nie obawiaj się, że zrobię

wielkie oczy: ja to przeczuwałam już oddawna! Zresztą — czemu w czasach tych już się dziwić? Zwłaszcza czemu się dziwić ma wychowawca — nauczyciel, czy nauczycielka? Nie jestem starą, ale, że wierzę w Boga — daje mi to dziwną jakąś moc — dziwnie jasne zrozumienie niejednego i — wyrozumienie — prawie bezgraniczne — na wszystko!

Wychowawca, to jak lekarz, który przywykł patrzeć na najstraszniejsze i najwstrętniejsze choroby i myśli tylko, jakby je leczyć; to jak kapłan, który osłuchał się przy spowiedziach ze wszystkiemi nędzami duszy ludzkiej, jakie pomyśleć się dadzą i rozważa tylko, jakby grzesznika do skruchy przywieść.

Wychowawca ma jeszcze coś więcej w swojem dziele nad lekarzem i kapłanem; — jako nauczyciel, spotyka się z nieświadomością i ograniczonością, na którą inni tylko pogardę lub szyderstwo mają. Nauczyciel — nie! on ma nauczyć! Po co ja to mówię? powiesz Kamilko... Boś i ty wychowawczynią, boś i ty nauczycielką! Chcę ci to przypominać ciągle, choćbym cię miała nie wiem jak rozgniewać, choćbyś mi tysiąc razy miała powiedzieć: gadasz, bo gadasz, albo — nic ci do tego — siebie pilnuj! Chcę i będę, abyś wiedziała, że wiara silniejszą jest od niewiary, nadzieja od zwątpienia! Chcę, moja droga, bo mi ciebie żal; żal mi tych dzieci, które prowadzisz, żal mi tych ludzi, których uwodzisz, żal mi społeczeństwa, w którem ty przedstawiasz jedną z bolesnych kwestyi... Nie opuszczę

cię, poczekam na lepszą chwilę!... (tymczasem ubrała kapelusz). No — do widzenia teraz, moja Kamilko! Idę do szkoły, ty masz jeszcze czas!

KAMILA.

I ty!

BRONISŁAWA.

Wstąpię jeszcze do kościoła

SCENA II.

KAMILA (sama — rzuca w złości różnemi rzeczami).

Święta!... kapłanka!...

Jestem nauczycielką, bo nią być muszę... bo żyć muszę!... Zresztą nauczycielką być, to nie jakąś tam panną modniarką... której nikt za nic nie ma!...

.... Boląca kwestya, ile takich bolących kwestyi?!

Co mnie to obchodzi? Niech sobie łamią głowy niemi ci, co chcą, lub muszą! Ja młoda, ładna, rwąca się do uciech, do rozkoszy! — Dość już, że muszę więdnąć przy tych szpargałach zabazgranych.

Mam jeszcze udawać mniszkę, gdy we mnie natura, jak ptak — do lotu, ruchu — swobody!

O chodźcie wszyscy tu! Niech was widzę u stóp moich!... Skrupuły różne! To wolno — to nie wolno... To uchodzi — to nie uchodzi! Wszystko wolno, wszystko uchodzi temu, kto sobie pozwoli...

Pozwoliłam sobie... i cóż mi się stało?? Było trochę krzyku i świętego oburzenia... Trzeba było udawać także oburzenie i... koniec!! Wiem przynajmniej, że żyję!! – Zresztą... znajdę zawsze obrońców...

Świat ten, to doprawdy wielki komedyant, czemuż ja nie mam grać komedyi? – Pozornie sławi się cnotę — ale stańmy do walki, ja — z najcnotliwszą: pewną jestem, że wygram, czy w podboju, czy w obronie! Czemuż stateczny Józef nie kocha się w cnotliwej Bronisławie, lecz we mnie!

Czemuż poetyczny Kazimierz nie zachwyca się koturnową Bronią, lecz... cóż robić – trzeba przyznać... z tego coś będzie!!

Czemu ten młodzieniaszek, braciszek Józefa, mnie spokoju nie daje?

A słyszałam już nie raz, jak o moją niewinność kruszą kopie! Jabym nie potrafiła sama tak — ja tylko patrzę na nich... patrzę -- ale jak? (słychać pukanie).

SCENA III.

(Wchodzi brat JÓZEFA uczeń GUSTAW).

KAMILA.

O, pan Gustaw nie ma dziś nauki?

GUSTAW.

Mam — mam, ale nie poszedłem do szkoły; udałem, że jestem chory. Wiem, że pani dziś ma

godziny dopiero po południu... spodziewałem się, że pani będzie samą...

Rodzice poszli z domu — ojciec i Józio do urzędu, matka ze służącą do miasta: jesteśmy sami, samiuteńcy!...

Ach, panno Kamilo!... (przypada do jej rąk porywa i namiętnie obcałowuje) jakże ja oczekiwałem raz znowu takiej chwili!...

A Pani? Pani jakby wszystko zapomniała? Taka zimna?

KAMILA.

Nie, tylko ktoś mi przyrzekał kiedyś, że to jedyny — pierwszy i ostatni raz,... wtenczas tak błagał — tak prosił — że... pozwoliłam! — Tymczasem...

GUSTAW.

Wtenczas, wtenczas pozwoliłaś pani nie ręce, lecz usta pocałować! Zresztą przyrzekłem, bo tak było trzeba... przyrzekłem, ale tylko słowami, bo w duszy co innego się działo!...

O, pani nie wie, jaki ja jestem nieszczęśliwy!!

KAMILA.

Panie Gustawie, któż widział — taki młody... prawie dziecko!... Niechże pan pomyśli... co dalej?... Przecież pan wie — że...

GUSTAW.

Tak! Brat mój chce się oświadczyć o panią! Tak, to rzecz straszna!... Nie ja tego nie

przeżyję! W dniu, w którym pani oddałaby swą rękę... ja się zastrzelę!

KAMILA.

Panie Gustawie!

GUSTAW.

Pani myśli, że tego nie zrobię! A czy to pani nie czytuje codziennie w dziennikach, nie widzi nawet illustracyi — jak sobie ludzie i starzy i młodzi życie z miłości odbierają? Czy pani sądzi, że gimnazyalista ósmej klasy nie zdobędzie się na to, by sobie u nóg pani w łeb palnąć?...

Jam temu nie winien, rozkochałem się w pani, i nie ma dla mnie rady! Nie mam siły powiedzieć sobie: nie!... Chce pani — wystąpię ze szkoły, ucieknę z panią, znajdę sobie jaką pracę... ożenię się... tylko... nie mów pani... „nie“!

KAMILA.

No, no, biedny chłopczyku, nie martw się, nie występuj ze szkoły... będę czekała!... Może się uleczysz, a może po ukończeniu szkół zechcesz mi powtórzyć oświadczenie. — Tymczasem przyjm na drogę walki — umocnienie. — (Całuje go w czoło).

GUSTAW.

Ach pani, Kamilo, droga, śliczna, jedyna, ukochana — najlepsza! (Całuje jej ręce za każdem słowem).

KAMILA.

Dość już — widzisz, żem nie z głazu — bądź-że grzeczny. . Lada chwila nadejdzie na lekcyę siostrzenica profesora Kazimierza.

GUSTAW.

Och, co to za profesor, to jeden... jedyny człowiek! O nim jednym nie mogę spokojnie pomyśleć, kiedy upadam na duchu!... Wstydzę się, bo... myślę... co onby powiedział? On taki wzniosły, taki mądry, taki dobry człowiek!

KAMILA.

Doprawdy? tak go lubicie!

GUSTAW.

Uwielbiamy!!

KAMILA.

A wiesz Pan, że to i mój niegdyś nauczyciel?... prawda, był młodziutki wtenczas... ja, prawie się w nim kochałam!

GUSTAW (patrzy niespokojnie). A pani bywa tam teraz?

KAMILA (śmiejąc się). Cóż znowu — zazdrośny?! Przecież on żonaty i — jak pan powiadasz — taki wzniosły!

GUSTAW.

Że żonaty... no, ale... on, onby nie potrafił... ja go obrażam samą myślą!

KAMILA.

No widzisz, widzisz, widzisz mój ty poczciwy, dobry, ładny chłopczyku! — Dajże buzi i bądź

zdrów! Idź — udawaj dalej chorego, a mnie już zostaw, bo... grozi niebezpieczeństwo, nawet mama może z miasta wrócić!... ot, nawet już idzie (patrzy przez okno). Prędko, prędko!

(Gustaw rzuca jeszcze całusy i szybko odchodzi).

SCENA IV.

KAMILA (sama).

Niechże kto powie, że złą jestem! Nie ratujęż ja życia temu młodemu chłopcu?

(Jakiś czas cisza — poprawia zadania. — Pukanie do drzwi).

Byłabym ładnie wyszła (głośno) proszę! (Wchodzi Marya ze Zosią). A może dobrze widziały go? (Podbiega z radością do wchodzących i wita się z wielką serdecznością ze swej strony. Zosia odpłaca pieszczoty. Marya zachowuje się uderzająco chłodno).

KAMILA.

Taka chłodna! Co to jest? (Głośno). Pani coś niezdrowa?

MARYA.

Istotnie jestem niezdrowa. — Nie mogłam spać tej nocy — dużo myślałam.

KAMILA.

Ale niechże pani siada (siadają). A ty Zosieńko spałaś?

ZOSIA.

Nie wiem — czy mogę powiedzieć (patrzy na Maryę).

MARYA (trochę szorstko). Któż ci broni?

ZOSIA.

Myślałam o dzisiejszej lekcyi i nie spałam.

KAMILA.

To z ciebie przyszła jakaś koncertantka! (Znowu pukanie).

SCENA V.

(Wchodzi GERTRUDA, matka Józefa).

GERTRUDA.

Dzień dobry pani, wracam z miasta. Po drodze spotkałam listonosza i przynoszę list pani.

KAMILA.

Dziękuję bardzo pani!

Pani sekretarzowa Gertruda Kłopocka — pani profesorowa Kazimierzowa. — Proszę może pani chwilkę spocznie.

MARYA.

Mam przyjemność znać syna pani oddawna. (Zwracając się do Zosi).

Ja się boję, aby się jej przez ten fortepian w głowie nie przewróciło... Wolałabym więcej

skłonności do gospodarstwa domowego. do robót kobiecych!

KAMILA.

Można połączyć jedno z drugiem!

GERTRUDA.

Niestety, dzisiejsze uczone panny — gardzą takiemi zajęciami. — Jak już książka, to więcej nic! Chodziłaby brudna, obdarta, czasem nie umyta i nie zaczesana, gdyby kto za nią nie zrobił.

Czasem, to doprawdy, śmiech i złość porywa! Komu to udawać? Jakiego stróża, woźnego, a choćby — rzemieślnika — córka liznęła parę klas — oho! rączki już za delikatne: musi iść do seminaryum, ba, nawet potem na uniwersytet! Kara boża. doprawdy — człowiek nie poznaje świata!

KAMILA.

Pani się gniewa, że córki pani muszą kolegować z proletaryatem . Postęp czasu, trudno, szkoła jest demokratyczną. Komu natura dała talent, ten niech się uczy! A cóż zrobić, jak los tak się na rzeczy nie rozumie, że rozdziela mózg czasem bez respektu dla rodu i urzędu?...

A przecież pani ma u siebie dwie takie uczone istsoty, jak Bronia i ja?... Czy pani może narzekać, że po za książką nic nie umiemy?!

GERTRUDA.

To prawda, ale to wyjątek — słowo święte — że wyjątek!... Tylko się panie zanadto spoufa-

lacie z uczennicami, a nawet ze służbą! Panie psujecie służbę, za grzeczne jesteście; za dużo płacicie, — za mało żądacie, robicie same to, co do służby należy! Potem, taka jedna i druga rozbiera sobie i powiada: „A niech pani zobaczy, jak panienki człowiekowi płacą — jak się obchodzą!“... kara Boża! Świat się do góry nogami przewraca!...

Ale już idę — idę, bom się rozgadała, a tam syn chory w domu... no i sługa nie mądra! Do widzenia! (Pożegnania — odchodzi).

SCENA VI.

MARYA, KAMILA, ZOSIA.

KAMILA.

Dość ciekawa kobieta — nie może zrozumieć czasu dzisiejszego: prócz urzędników i panów z rodu — nie ma u niej ludzi. — Swemu mężowi, który kiedyś rentowne prowadził rzemiosło, za warunek postawiła: porzucić je i wystarać się o urząd... Jest teraz — panem sekretarzem, — naturalnie z tytułu.

MARYA.

Słabostki ludzkie, któż ich nie ma? Nie chcę przeszkadzać... i tak czeka list... Po Zosię przyślę...

KAMILA.

Nie mam rano nauki, to ją odprowadzę.

MARYA (chłodno). Niech się pani nie trudzi.

KAMILA (ociera łzy. Pauza).

MARYA.

Pani płacze — cóż pani jest?

ZOSIA.

Czego pani płacze?

KAMILA.

Nic to nic! Takie moje szczęście.

MARYA.

Panno Kamilo! niechże mi pani powie... Panno Kamilciu, co Pani? (całuje ją).

KAMILA (uspakajając się). Teraz już nic, nic! Pani się nie gniewa! Ja myślałam, ja się tak bałam, ja tak panią przecież kocham! Pani nie wie, jakby mi przykro było!... Tyle mi ludzie już nadokuczali się, tyle mię naoczerniali, gdyby tak zacna, droga pani także przeciw mnie była...

MARYA.

Ależ panno Kamilciu... nie... nie... (ze łzami) ja się cieszę, jak panią widzę, (całuję ją) niech pani przyjdzie, umówimy się o różne rzeczy.

ZOSIA.

Tatka imieniny!...

MARYA.

A mąż? — jak on lubi panią — jaki rad jak pani przyjdzie, zaraz się ożywia — odmładza...

KAMILA.

Pan profesor jest rzadkim człowiekiem! Szczęśliwa pani. Gdybym ja taką być mogła!

MARYA (patrzy podejrzliwie, po chwili). Do widzenia się (odchodzi).

SCENA VII.

KAMILA, ZOSIA.

KAMILA.

Siadaj Zosieńko, zaczynamy lekcyę!

ZOSIA.

Niech pani list przeczyta.

KAMILA (bierze list do rąk i przypatruje się adresowi). Wiem już skąd — nic ciekawego — może poczekać (do siebie). To przeklęte fatum nie da mi nigdy spokoju, znowu list!

ZOSIA.

Co pani mówi?

KAMILA.

Nic, moja ty ciekawska, przypominam sobie jak zacząć naukę.

ZOSIA.

Niech mi co pani najpierw zagra!

KAMILA.

Dla zachęcenia, no siadaj, siadaj, zagram! (fortepian — melodya).

ZASŁONA SPADA.

ODSŁONA III.

SCENA I.

W domu profesorstwa.

(Deputacya uczniów z powinszowaniem Imienin).

KAZIMIERZ.

UCZEŃ. (Przemówienie ciąg dalszy).

Podwójnie szczęśliwi, że nas uczysz i że jesteś gospodarzem klasy naszej -- jedną myślą się tylko troszczymy, że jako uczniowie najwyższej klasy, opuścimy niebawem zakład i utracimy przewodnika w Tobie.

Utrata takiego przewodnika nie da się porównać z żadną inną -- jak z utratą ojca.

Że to nie czcze słowa, ty nam wierzysz, ukochany panie! -- Prawda, ty zostaniesz tu, żyć będziesz i pracować dalej — daj Boże — w najdłuższe lata, i my żyć i pracować będziemy, ale będziemy nosili tylko obraz twój w duszy, tylko echo twych słów przyjaznych, słów mądrych i wzniosłych. Będzie to wiele, ale... więcej brakować będzie! Bo jednak, to nie ty sam, uko-

chany, dobry mistrzu, nie ty, którego zjawienie się u nas w klasie innego ducha budziło, serca podbijając niezwalczoną mocą, za sobą rwało, a gdzie — jak nie w górę? Ty inaczej nie potrafiłbyś! Cóż dopiero, gdyś się odezwał?! — Zresztą tyś był zawsze z nami — zawsze ten sam — nie wiedzieć gdzie i kiedy lepszy i przystępniejszy: zawsze czczony i kochany!

Myliłby się, ktoby sądził, że młodzież nie rozumie swych kierowników. Myśmy czuli i wiedzieli, że u ciebie dziećmi jesteśmy, że nigdy ci z myśli nie schodzimy, że oko twoje, czy cielesne, czy duchowe, zawsze — zawsze nad nami!

Myśmy rozumieli, jak tobie na nas zależało; to też nie mieliśmy odwagi cię zasmucić!

Czy takiego człowieka, takiego przełożonego, takiego mistrza w życiu gdzie znajdziemy jeszcze?

Aleś ty, ukochany panie, w jednym jeszcze dzielny i mądry!... Ty przewidujesz, że nas sobie od serca oderwać musisz, ty chcesz tego nawet — dla dobra narodu i ludzkości całej: to też nas tak uczysz, tak gotujesz, tak hartujesz, byśmy w walce życia nie padli, byśmy o własnych siłach ideom twym żołnierzyć potrafili!

Bądź też spokojny, drogi panie! Bóg i Ojczyzna! Dobro — prawda i piękno, to ogólne hasła, których jednak całą przepaścistą głębię usta twoje złote potrafiły nam rozjaśnić, nietylko usta, ale twoja niestrudzona praca, twoje niedoścignione przykłady; te hasła, zostaną na naszych sztandarach czyste, zobaczysz, — da Bóg —

w siwiźnie swojej — jak ci pokłonim się nimi po latach czynu! Zobaczysz — że ci je zniesiem u tronu Najwyższego na świadectwo, żeś był wiernym jego sługą!

Żyj nam dzisiaj w najdłuższe lata — czcigodny — ukochany — najlepszy Panie Profesorze! (śpiew: „Niech żyje nam“).

KAZIMIERZ (odpowiedź).

Moi młodzi przyjaciele, ukochani uczniowie! Wyrazy są jedne i te same na mówienie prawdy i nieprawdy, ale kto ma serce — odczuje, czy w słowach jest tylko maska, czy też skarżą się one, że są słabe, że radeby być silniejsze, ażeby, jak gromy świecić i świadczyć o swojej szczerości.

Ja mam serce i ja was rozumię! Zresztą uczyłem was, że jakkolwiek dziś w świecie uniformuje się cnotę i niecnotę jednakowo, to wy — nie idźcie tą drogą, ale niech myślom odpowiadają słowa, a słowom czyny!

A skoro czujecie, że was rozumię, to zrozumiecie, że wśród życzeń, które dziś z różnych stron i wyżyn odbieram — jedne wasze są mi tak miłe — jak od mojej najbliższej rodziny!... Bo ja, zawód mój, który bywa zapoznawany — nawet poniewierany, o którym się zapomina, że przez szkołę staje się podstawą wszystkich innych zawodów, — ja, zawód mój uważałem i uważam za kapłaństwo — za służbę idei wychowania — przeto i idei odradzania — idei zwycięstwa dobra na ziemi!...

W takim razie — wy — przez których tę ideę spełniać mogę, stajecie mi się największym skarbem — sercem mego serca, duszą — duszy mojej!

Czy mi może zatem zależeć na kim, lub na czem bardziej, niż na was?

I jeżeli wy zadowalacie marzenia moje — jeżeli ze świadectwem stajecie, iż wy moi; to, przyjaciele drodzy, wydaje mi się — jakbym w tej chwili był co najmniej Napoleonem!

Znacie mię i wiecie, że nie szukam u was taniej popularności, ażebym zezwalał i przez palce patrzał na wszystko!... Źleby to było bardzo! Owszem moglibyście mnie nawet nazwać twardym, bo młodzieńcze siły wasze ciągle wzywam do boju! Żądam od was gruntownej nauki, żądam nieposzlakowanej prawości! traktuję was bezstronnie, i sprawiedliwie!... Nie zapominam, że jesteście młodzi i wiem co młodości wybaczyć można, ale rozumiem też, że tylko w młodości serce na olbrzymie zapasy sposobić się da!

To też nie przedstawiam wam życia uciesznem, nie wiodę was na kwieciste błonia dobrobytu i używania; ale owszem mówię, że was czeka walka, że czeka praca i że takie życie, zwłaszcza w naszych stosunkach, najświętszym jest każdego obowiązkiem, chociażby nie potrzebował na chleb zarabiać!... I mówię wam: nie zginajcie karku do żłobu złotego, nie uczcie się służalstwa dla nakarmienia ciała i błogiego spokoju:

ale bądźcie ludźmi, skarbcie sobie zasady i miejcie odwagę oddać za nie wszystko!

Prawda, że nie pozostawiam was bez otuchy, bo dodaję słowa ewangelii: „Nie bójcie się! krzyż mój lekki, a jarzmo słodkie“.

Kto się zaprawi walczyć — będzie zwyciężał, a wierzcie mi... tylko wtenczas można być szczęśliwym, tak szczęśliwym, żeby się nie oddało tego szczęścia za żaden dostatek, za żadne użycie! — Nie widzieliście mnie, bym się smucił wśród was, bym wyrzekał, bym zły był i niecierpliwy! Z pogodą do was przychodzę zawsze, z wiarą, że dobrą nowinę wam niosę, z zapałem do nauki, jakbym wczoraj dopiero wstąpił do zawodu!... Na cóż ja to mówię? Żeby się chwalić? Chyba nie, ale na to. byście widzieli, że krzyż może się stać lekkim, a jarzmo słodkiem!... A więc, chociaż do twardej doli was wołam, jestem pełen miłości dla was. a cieszy mię, że wy to oceniacie!

Dziękuję wam, ukochani, z serca, a przez was wszystkim waszym kolegom!... — Jutro, o godzinie 3 po południu — punkt zborny szkoła — pójdę z wami na wycieczkę, tam spędzimy sobie nasze święto, jak się wyraziliście! (Uczniowie odchodzą żegnani przez Kazimierza podaniem ręki).

SCENA II.

KAZIMIERZ — MARYA.

KAZIMIERZ.

Poczciwi chłopcy, z nich będą ludzie! Prawda Maryniu?

MARYA.

Być może; zresztą ty to wiesz lepiej — mój sąd nie na wiele ci się przyda!

KAZIMIERZ.

Tak zimno to przyjmujesz, co mnie żywo obchodzi! Zadąsałaś się na mnie za uwagę o tym wierszu! — No daruj mi, daruj, ale tak chciałbym, żebyśmy się mogli rozumieć w całości, żeby myśli moje, czy to pisane, czy wprowadzane w życie... były i twojemi!... Tak czasem dziwnie obojętną jesteś... Ja wiem, ja z całą chęcią uznaję twoją pracowitość, twoją prawość, twoje nawet bardzo dobre serce... ale, gdybyś ty uszlachetnić umiała to wszystko... (po pauzie). Wiesz, że — noszę się z projektem pewnym... ale bez twej zgody, ale zgody nie wymuszonej, trudno mi go będzie wykonać... Miałabyś zasługi obywatelskie...

MARYA.

Jakiż to projekt?

KAZIMIERZ.

Chciałbym... wytworzyć cieplejsze życie w gronie szkolnych kolegów moich. Są zresztą tacy, co mnie dość lubią, inni może mniej, ale... będziesz widziała, jak to ochoczo dziś pójdzie, jak to po staropolsku serca się otworzą!... To jednak jest chwila i nie radbym, aby zawsze podnietę dawały imieniny ze sutą kolacyą, winem niezgorszem, kartami, a choćby towarzyską

zabawą!... Chciałbym rzeczy o poważniejszym nastroju!... Coś, w guście wieczorów czwartkowych... Byłoby dużo ducha, a mało bardzo cielesnej strawy!... Tak — raz na miesiąc? — (patrzy na Maryę, która siedzi spokojnie).

Ale to nie koniec... Chciałbym w kontakt z młodzieżą wejść bliższy i przyjmować u siebie uczniów od czasu do czasu! Naturalnie, dla tem lepszego na nich wpływu!... Jasnego całkiem planu nie mam jeszcze... ale przykłady tego rodzaju były dawniej...

Cóż ty na to?

MARYA.

Mój Kaziu — trud swój ofiarować mogę, ale czyś ty obliczył koszta?

KAZIMIERZ.

Alboż mię nie znasz? wiesz, że moje ideały — chciałbym chętnie powiedzieć nasze — liczą się z gruntem realnym, bo, zdaniem mojem, tylko ideały, związane z życiem, z niego wypływające, a uszlachetniające je — mają wartość... Mogę snuć ideały takie, które ja snuć mogę!... Wiesz — jak po prostu nie cierpię tego dzisiejszego zwyczaju: jeść tylko publicznie, pić publicznie, bawić się publicznie i t. d. Są ludzie, którym w domu nic nie smakuje, nawet gazeta, nie mówiąc o mięsie i piwie..., którzy w domu nie wiedzą, co robić! Nie przeczę, że w pewnych razach i pewnych kierunkach to zastąpienie kół domowych — zgromadzeniami pu-

blicznemi -- ma swoją wartość, jest nawet koniecznem, ależ bo to dochodzi do ostateczności, po prostu rujnuje niejednych materyalnie — i co gorzej — moralnie!

Weź tylko te święte Mikołaje kasynowe, te drzewka wigilijne, te przedstawienia dziecięce, całkiem na aktorską modę, te polowania na balach za mężem i t. d.

MARYA.

Więc myślisz użyć na projekt twój oszczędności z tych śniadań, których nie jesz, z tych wódek, których nie pijesz, z tych cygar, których nie palisz, z tych kart, w które nie grywasz i z tych balów, na które nie uczęszczasz! Ba, kiedy to same rubryki — na które **nie** wydajesz, a które nic **nie** przynoszą. — Sam powiadasz, że gdzieś się to podziewa!... Ale pomyślimy nad tem, tymczasem muszę się spieszyć do kuchni, bo lada chwila zaczną się schodzić goście!

KAZIMIERZ.

Czy wszyscy zaproszeni przyrzekli być?

MARYA.

Prawie! Jednej osoby może nie będzie, bo Kamila miała zaproszenie na ślub i wesele.

KAZIMIERZ (przeciągle z akcentem).

Taak?! (widać zmianę usposobienia).

MARYA.

Dlaczegoż cię to tak obchodzi? Przecież nie dla niej samej dajesz ten wieczór?

KAZIMIERZ.

Przykrą jesteś Maryniu! Mogłabyś mi bodaj dziś oszczędzić tych wyrzutów!

MARYA.

Jak człowiek mrowisko niepokoju w sercu nosi... nie może nie kłuć. Ja dziś coraz więcej wlepiam wzrok w jedną myśl... i trudno — trudno mi go od niej oderwać .. Ty sam wiesz — jak to źle myśli przerywać...

Ja jestem kobietą i żoną starej daty; chciałabym męża mieć — dla siebie..., a nie mam i — dzieci...

Gdybym mogła być twoją książką, albo twoją szkołą, a najbardziej .. twoją... Kamilą!!

(Odchodzi).

SCENA III.

KAZIMIERZ (porywczo).

A tego już za wiele! (hamuje się). Ale niech tam!... To jest jej nieuleczalna zła taktyka!... Boże mój, jak ja inaczej myślałem, inaczej!... Ot!... to, to człowieka truje!

Ożeniłeś się... i serce i sumienie każe się z tem liczyć!... Szukać zabezpieczenia bytu!... Praca dla chleba wyjada ci pół szczęścia!... odrywa od wielu najdroższych marzeń, radbyś koniecznie zidealizować ją, przekuć na obywatelską, a tu masz... raz po raz w podobnym guście podniety!... Tak mało rozumienia, czasem nawet powiem... współczucia...

Et, zapragnąłeś pokoju...

Szukaj go i utrzymuj właśnie wśród... niepokoju...

SCENA IV.

(Wchodzą KAMILA i BRONISŁAWA).

BRONISŁAWA.

Przychodzimy o całą godzinę za wcześnie. Proszę nam wybaczyć ten brak dobrego tonu.

KAZIMIERZ (trochę z przekąsem).

Co ja widzę?... panna Kamila opuściła wesele?...

(Powitanie).

KAMILA (z wyrzutem kokieteryjnym).

Ładną mam nagrodę! (ciszej) czy można było wątpić?

BRONISŁAWA (słodko się uśmiechając).

A o mnie to już pan profesor nie dba wcale; muszę się koniecznie pogniewać. Pójdę, poskarzyć się pani — a przy tej sposobności zdjąć kapelusz. — Dobrze?

KAZIMIERZ.

Będąc panią, trzeba się umieć pogniewać.

BRONISŁAWA.

Chodźmy Kamilko gospodynią domu powitać, a może i pomódz co w kuchni, jeżeli gosposia droga nas nie wyrzuci.

(Wychodzi).

KAMILA.

Idę! idę (odchodząc ciszej).

Taka drobnostka jak wesele! (zalotnie) Dla doradcy, opiekuna, najlepszego profesora nie wiem, czy jest co, czegobym nie zrobiła?

KAZIMIERZ.

Mógłbym panią wziąć za słowo...

KAMILA.

Nie odwołuję.

(Wychodzi).

SCENA V.

KAZIMIERZ sam — później JÓZEF.

Czy ona zwodzi — czy prawdę mówi?... Ten kontrast... ta atmosfera — wszystko się sprzysięga na mą duszę!...

Albo ja wiem, co się ze mną dzieje?... Bój się Boga człowiecze... toby było straszne!... Tobie nie można rozgrzeszać się, jak innym... Nie! nie! nie!... (Zamyśla się głęboko).

(Wchodzi Józef, z miny widać dość kwaśny humor).

JÓZEF.

Sługa profesora! Powtarzam życzenia! (Kazimierz zrywa się z krzesła; witają się serdecznie).

KAZIMIERZ.

Dziękuję serdecznie, co nowego?

JÓZEF.

Jakto albo pan wie?

KAZIMIERZ.

Nic nie wiem — tylko widzę u pana nie najlepszą minę... zresztą zapytałem bezmyślnie!

JÓZEF.

Niech licho porwie! Niech pioruny zatrzasną!

KAZIMIERZ.

Oho! Już wyłazi jakiś pessymizm; dziś trzeba być w dobrym humorze

JÓZEF.

Jak się dostanie taki list... (podaje Kazimierzowi).

KAZIMIERZ (przebiegając oczyma).

E, cóż tam, anonim!... Kto taki ładny i tak się podobać umie, jak panna Kamila, ten musi mieć nieprzyjaciół, albo — nieprzyjaciółki... Wie pan, czem więcej ją obserwuję, tem więcej zyskuje w moich oczach. — Inteligencya, subtelne odczuwanie wszelkich wrażeń, — delikatność i formy zadziwiające; przytem — brak wszelkiej hardości. Umie się zająć i zajmie się każdą pracą; rzekłbym: łączy dobre strony kobiety typu przeszłego i teraźniejszego, a nie ma ujemnych...

JÓZEF.

We mnie ciągle, co do niej, coś się sprzecza! I ja to także widzę, co pan mówi i to mię ciągnie, może już nawet za daleko pociągnęło; z drugiej strony... od czasu... do czasu... te

anonimy, — nawet na otwartych kartkach, — miłymi być nie mogą! Ale niechby tam! Kiedy bo tu cię zajdzie, to ten, to ów — już nie anonim i powiada: „Słuchaj, była na balu“, jak nie, to na wieczorku, albo... wzięła udział w koncercie i przedstawieniu!... Trzeba przyznać, że ludzie coś przewidują i — djabli wiedzą czego — zaczynam ich interesować!... Ona lubi. . lubi się bawić i to... może trochę za wiele... Możeby się dały odnaleść nawet strony ujemne i typu dawniejszego i dzisiejszego.

I taniec i ślizgawka i rower i wino .. Czasem powiedziałbym idzie to za daleko i za śmiało; w myśl hasła: równi z równymi, wolni z wolnymi, tylko inaczej przystosowanego...

Nie dalej jak trzy dni temu całą noc tańczyła; szczególnie uwijał się koło niej prawie nieodstępnie — Grabicz... sądowy auskultant; nawet miał powiedzieć... — zdaje się tak na wywiady — że możeby się był starał o pannę Kamilę, gdyby już nie była zajętą.

Odprowadził ją do domu, samą, rano... Ha... niech się stara... zajętą nie jest... Ot i idzie!

(Kazimierz słuchał zrazu od niechcenia, potem coraz uważniej i ze stopniującem się wrażeniem).

SCENA VI.

(Wchodzi KAMILA).

KAMILA.

Wypędza mię pani — czegoś się na mnie gniewa! A... pan Józef! (powitanie)

JÓZEF.

Jakże się udał bal? Choć tak blisko siebie mieszkamy, nie miałem sposobności zapytać panią! Wiem tylko, że po piątej już było, gdy pani wróciła do domu.

KAMILA.

Bawiłam się doskonale! Ani chwilki nie siedziałam.

JÓZEF.

Zwłaszcza pan Grabicz adorował panią!

KAMILA.

Bardzo miły, młody człowiek, wesoły, dowcipny, szarmancki!

JÓZEF.

Umie tańczyć, śpiewać... no... jest... jest wesoły, może aż nadto: umie nawet być interesującym, — zwłaszcza rzucać zdania, które mogłyby wyglądać na coś więcej, niż się jemu śniło!

KAMILA.

Pan Grabicz był dla pana życzliwszy, wyrażał się o panu bardzo pochlebnie!

KAZIMIERZ (ze znaczącym naciskiem).

Jednak pan Józef ma racyę pewną, możeby lepiej było mniej tańczyć... zwłaszcza tańczyć ciągle z jednym!

SCENA VII.

MARYA (wchodząc).

A cóż tobie do tego Kaziu?! Czy chcesz aż, żeby ci panna Kamila sama to powiedziała... gotowa chyba pomyśleć, żeś zazdrośny, (Józef wita Maryę ucałowaniem jej ręki).

KAMILA.

Nie ośmieliłabym się uwag pana profesora tak tłumaczyć; wierzę w ich szczerość i przydatność.

MARYA.

Proszę cię Kaziu do pomocy na chwilę... Państwo zechcą może przejść do saloniku, albo... zostaną tu sami.

Pan Józef gniewać się nie będzie!

(Marya i Kazimierz odchodzą).

SCENA VIII.

KAMILA I JÓZEF (siedzą w milczeniu; po pauzie zasiada Kamila do fortepianu i poczyna grać: „Marzenie“ Chopina. Józef przegląda album).

JÓZEF (do siebie).

Dziś, lub nigdy... Przecież ona to dobrze wie... odwagi tylko — odwagi! (postępuje naprzód i staje). Łatwo się oświadczyć... A — gdzie tam łatwo!... Ale dajmy na to, że się oświadczyłem .. Może być kosz... kto ją odgadnie... a może... a wtenczas??... ślub! A po ślubie...

Widzę, że jestem nieuleczalny!

KAMILA (nie przerywając grania, ujmującym ruchem głowy zwraca się do Józefa — z uśmiechem).

Uczy się pan roli?

JÓZEF.

Pani potrafiłaby niedźwiedzia zachwycić!...

KAMILA.

Czy i rybę także? (śmieje się nie zmieniając pozycyi).

JÓZEF.

To grzech panno Kamilo tak ludzi czarować.

KAMILA.

Ale grzech przyjemny... dla obu stron!... Prawda?...

(Wbiega Zosia).

KAMILA (podchodząc ku niej).

Zosienko! jakżeś się ślicznie ubrała!

JÓZEF.

Znowu nic! No, ale będzie czas później... Dziś, albo nigdy!

ZOSIA.

Przyszłam, aby się pani pokazać, a wiedziałam, że pani tu jest, bo pani grała... Tatko tę melodyę szczególnie lubi... przerywa nawet robotę i słucha... i teraz słuchał...

KAMILA.

Tak moje dziecko, bo ta melodya dla takich, jak twój Tatko; takich nie ma dużo na świecie!

SCENA IX.

(Przy ostatnich słowach Kamili wszedł Kazimierz, za nim Marya z Bronisławą).

MARYA.

Zosiu! kto ci pozwolił tu przyjść przeszkadzać?

JÓZEF.

A broń Boże! Zosia nigdy nie przeszkadza.

KAMILA.

Byliśmy bardzo grzeczni wszyscy: i pan Józef i Zosienka i nawet ja!

MARYA.

Mogliby goście już przychodzić, każdy boi się zrobić początek.

BRONISŁAWA.

Nie, nie jest tak źle — jeszcze kwadrans brakuje do oznaczonej godziny; to tylko my takie parafianki..., a prawda, pan Józef nas wybawia!

KAZIMIERZ.

To swoi wszystko — domowi — nie uważani wcale za gości!... Wiecie państwo co mi

przychodzi na myśl?... możebyśmy sobie tymczasem co przeczytali wspólnie.

KAMILA

Jakąś poezyę! Nie zapomnę tego wiersza, który pan Józef o całusie nam przeczytał... W każdym razie — tak wybrać — to świadczy o guście!

KAZIMIERZ.

I na guście się zazwyczaj kończy!... Poezyę trzeba brać seryo tak ze strony autorów jak i czytelników. Ona powinna spełniać zadanie dźwigni życia. Tymczasem proszę wziąć n. p. płody liczne nowszej literatury: ludzie w nich wyglądają jak istoty oderwane zupełnie od stosunków tła rzeczywistego: poruszają się, jak we śnie, jak zahipnotyzowani, — niczemu się nie dziwią, wszystko przyjmują — jakby tak być musiało... wpatrzeni tylko w jedno — swoje szczęście, czy nieszczęście, z góry już także im przeznaczone... Nie można temu odmówić czasem nawet wielkiego talentu, ale to nie dość!... Człowiek nie przyszedł tu tylko przeżyć pewien — odosobniony, bezwolny, proces psychiczny, ale i... spełnić samowiednie zadanie społeczne... Sztuka musi się z tem liczyć, inaczej byłaby strasznie jednostronną, wywołującą nastroje — istotnie — chyba dla — zaświatów!... Nie mówię przeto, żeby się miała przemienić w jakąś przyrodniczą obserwacyę naukową i chcąc być aż do szczegółów wszelkich dokładną — posługiwała się najwstrętniejszymi bru-

dami życia. To nie jest sztuka, dla której zawsze przykazaniem pozostanie — piękno!... Całą zaś prawdę niech zostawi nauce!

BRONISŁAWA.

I ja myślę, że poezye powinny być takie, by się stosować dały... Niech ideał zostanie ideałem, ale niech daje możność pojęcia go, zbliżania się do niego: Wtenczas to zbliżanie się będzie poezyą życia!... W razie przeciwnym, wytworzy on tylko zamęt, może przyjemny, jak jakieś upicie się narkotycznym zapachem, ale zamęt! A zamęt zniechęca do życia, do czynu, a nam czynu trzeba!

KAZIMIERZ.

Brawo, ślicznie!

KAMILA (z odcieniem zazdrości).

Bronia stworzona na kaznodziejkę!

MARYA.

Tylko taką, która to robi, co mówi! (całuje Bronisławę.)

KAZIMIERZ.

Poezyę Bóg dał ludziom, aby przez nią, przez jej tęsknotę proroczo to przeczuwali, czego rozumem pojąć nie zdolni. Poezya jest najbliższą siostrą religii i one najlepiej się wspierają... Poezya jest poręką, że człowiek zostanie człowiekiem — istotą duchową — nigdy tym światem, tem życiem się nie zadowoli, lecz pragnąć będzie innej krainy... Jednak, to dążenie o ile

rzewne i tęskne — zarazem jest święte — jest największem szczęściem ludzkiem — jest niewysychającem źródłem ciągłego postępu — ciągłego podnoszenia się ludzkości!

Ono tylko kiedyś może sprowadzić królestwo Boże na ziemię.

I w tym sensie poezya łączy dwa światy ze sobą, ożywiając i podnosząc ten nasz — naszą ziemię, ku drugiemu, idealnemu, w którym twarzą w twarz z Bogiem przybywać można.

Sam Bóg jest największym poetą, bo dzieła swego największego rozumu przyodział w najpiękniejsze szaty!... I dał też moc odczuwania tego piękna, nawet prostaczkom, nawet maluczkim... Od czasu do czasu, by przygasające pochodnie na nowo rozpalić, rzuca jak drogie perły, jak skąpstwo swoje, natchnione duchy, które osobno obdarza — darem najbardziej boskim — darem tworzenia!... Gdyby świat wygnał kiedy poezyę, a raczej Bóg ją za karę odebrał: byłaby to z pewnością klęska — wobec której — potop świata zmalałby do zdarzenia podrzędnego. Ludzie, zapominają nieraz o tem — wołając: „chleba! chleba!“

Słusznie! ale to szczęście, że są i inni, którzy drugą kwestyę socyalną przed sobą czują i widzą wołając: Ducha! Ducha!... Ducha nam nie zabierajcie, ducha nam nie zakuwajcie, bo biada nam!!!...

MARYA (do Bronisławy).

Mój Kazio, to brat pani!

BRONISŁAWA.

Nie, to mistrz, a ja uczenica.

KAMILA.

Jakie to piękne!

JÓZEF.

Bo też pan profesor sam sobie na wiersze pozwala; jakbyście panie chciały posłuchać, a naturalnie i autor pozwolił, odczytałbym z moich zapisków jeden wiersz pana profesora.

KAZIMIERZ.

Zdradza mię pan?

JÓZEF.

Z tym „całusem“ milczałem, ale skoro dziś pan sam się tak wyraźnie zdradził...

KAMILA.

A możeby sam autor odczytał coś do nastroju!

JÓZEF.

O, to także rzecz nastrojowa, może o pół tonu niżej, ale pamiętajmy, że to nawet na czasie, bo dziś... mamy się bawić... Co do czytania zaś, to zgoda! Ja sam chętnie posłuchać wolę — zamiast mego baraniego — głosu dźwięcznego słowika (wręczając Kamili). Proszę!

KAMILA.

Co za zaszczyt?... Zgadzacie się państwo?

KAZIMIERZ.

Prosimy! Zosienka pójdzie z tatkiem popatrzeć, czy goście nie nadchodzą... Za chwilę wrócę.

ZOSIA.

A ja?

(Kazimierz całuje ją, coś mówi do niej po cichu i odchodzi).

SCENA X.

KAMILA (czyta).

„Nie chciał cierpieć!“

Dziewczę próżne i zalotne,
Psute naokół hołdami,
Zachciało pochwał — wierszami!
Zachciało — wawrzynu woni —
I — rzuca sieci w pogoni —
Na życie poety samotne!

Poeta, jak często bywa,
Zakochał się w dziewczynie,
Której z usteczek miód płynie,
A serce — zdradę ukrywa!

Zrazu, jak w niebie im było;
Wszystko pod mocą pieśniarza,
Co dawniej nie żyło — ożyło!
Wszystko — u tego ołtarza
Uczucia szczerej miłości;
Olbrzymiało z nicości!

(Tu wchodzi Kazimierz).

Dziewczę — tak się zdawało —
Lotem kochanka leciało —

Lecz czasem — to, owo zdanie:
Zdradzało zakłopotanie!

Boć wreszcie — karmić anioła,
Co tak ładniutkie miał ciało —
I tyle chłopców dokoła —
Ciągle — serdecznem marzeniem,
I myśli rwącym strumieniem —
Wieszczu! To przecież za mało!

Być rzeźkim i rzutnym trzeba!
Objąć wpół — przycisnąć do siebie,
Ustom ustami wlać nieba,
To lepiej, niż marzyć o niebie!

Tak też się nawet i stało
Dziewczęciu, lecz nie z poetą!...
.... Nieszczęście tylko chciało:
Że musiał własnemi oczami
Przekonać się, że się nie mami,
Że anioł jego, kobietą.

Rażony tem dziwnem widzeniem,
Rozbrat wziął naraz z natchnieniem,
Które go niosło nad chmury;
A zbratał się — z kulą dwurury!

Lecz jeszcze go wyleczono!
Przyszło do zdrowia — ciało,
Ale poetę — stracono!...
Boć wieszcza to przeznaczeniem:
Uświęcać się i żyć cierpieniem,
A jemu się cierpieć nie chciało!

BRONISŁAWA.
Biedny poeta!

MARYA.

Poeci są zawsze dziećmi, przy całej swej mądrości! Nic łatwiejszego — jak ich złapać na wędkę zalotnicy!

(Słychać dzwonienie, Kazimierz wychodzi, za nim Marya, wchodzą po chwili goście, panowie i panie, powitania).

KAZIMIERZ.

Proszę, niechże państwo będą łaskawi!

(Gospodarstwo wprowadzają gości do dalszych pokoi. Scena się opróżnia. Za chwilę jednak powraca Kamila).

KAMILA.

Nie! nie wytrzymam tego, na każdym kroku mnie obraża... Zazdrości widocznie, aż za widocznie... po prostu, kompromitująco! Nic wziąć... nic podać, ciągle — słowa, jak kolce, spojrzenia, jak chmury gradowe!... No, ale ze mną walka nie tak łatwa!

(Opiera się o poręcz krzesła i zamyśla się — wchodzi Kazimierz).

KAZIMIERZ (przez chwilę obserwuje zamyśloną postać Kamili prawie z uwielbieniem).

Spostrzegłem, że pani nie ma, cóż to pani smutna? Co pani jest?

KAMILA.

Niedobrze mi... muszę wrócić do domu! Muszę!... Nie mogę psuć harmonii...

KAZIMIERZ.

Ależ, gdy pani nie będzie, najgorzej ją popsujesz... Nie odchodź pani, proszę, bardzo pro-

szę! Miałbym smutne wspomnienie! (Kamila słabo się opiera).

Dla kogo innego, — dla tancerza na balu, — zrobiłaby to pani. Prawda?...

KAMILA (szybko).

Dla nikogo, jeśli nie dla pana!... O... gdyby wszystko powiedzieć można!...

KAZIMIERZ.

Gdyby!... A więc zostanie pani?

KAMILA.

Jeżeli pan tak chce... zostanę! (podaje mu rękę).

KAZIMIERZ (chwyta ją i namiętnie wielokrotnie całuje).

KAMILA (szeptem prawie).

Panie profesorze... Ach ja pojmuję... pojmuję wszystko bez słów! Dość, panie profesorze... może kto nadejść! Niech pan wraca do towarzystwa... ja przyjdę potem!

KAZIMIERZ.

Stało się! (wychodzi).

(Krótka pauza, Józef wchodzi).

SCENA XI.

JÓZEF.

Może przeszkadzam?

KAMILA.

Może przeszkadzam? (chce wyjść).

JÓZEF.

O, tym razem już pani nie puszczę, dokąd nie powiem, że...

KAMILA.

Że?...

JÓZEF.

Ale pani się nie pogniewa?

KAMILA.

Nie!

JÓZEF.

Że panią kocham!... Tak kocham, jak tylko mię stać na to; wiem, że więcej, silniej, nikogobym w życiu nie kochał i nie pragnął nazwać swoją żoną!...

Czy pani odda mi swą rękę?

KAMILA.

O, to bardzo poważnie! Pan wie, że ja nic nie mam?... Ach prawda, mam nieprzyjaciół!

JÓZEF.

Pani mię obraża! Pani sama jesteś skarbem!

KAMILA.

Pan jest uczciwym, nawet szlachetnym człowiekiem; winnam zatem panu szczerość... Szanuję pana bardzo, sprzyjam mu, ale go — nie kocham!... Może kiedyś.. później... Jeżeli panu to wystarczy...

JÓZEF.

Wystarczy w tej nadziei, że zdołam sobie miłość pani wyjednać... W tej nadziei, że zawsze bliżej pani będę, niż — kto inny!

KAMILA.

Ach, ten bal!... Jak pan mię sądzi źle! Pan Grabicz jest dla mnie niczem więcej od zwykłego znajomego...

Mam naturę niezbyt zapalną. — Po balu kładę się i śpię bardzo dobrze!... Może chyba komu głowę zawrócę, moja spokojna!

JÓZEF.

W takim razie, tem większą mam nadzieję!

KAMILA.

Ja zaś tylko nadzieję nadziei — i dlatego proszę: niech pan trochę wyczeka; — zostawmy sobie pewien czas do namysłu! Dziś panu ręki nie oddaję — ale i nie odmawiam (podaje mu rękę).

JÓZEF (całuje ją).

Droga, kochana rączka!

KAMILA.

Może nią i będzie!... A teraz chodźmy, — czas najwyższy już!

JÓZEF (do siebie).

Szczęśliwy wieczór (wychodzą).

ZASŁONA SPADA.

ODSŁONA IV.

SCENA I.

W domu profesorstwa, pokój.

KAZIMIERZ (sam).

Jeszcze jestem, jakby upity!... Tyle w krótkim czasie przejść, wrażeń... Tyle przeniewierstw popełnić!... dla osobistej rozkoszy,.. Zdradzić żonę... zdradzić — prawie przyjaciela — w każdym razie — człowieka uczciwego, który mi ufał... zdradzić... młodzież moją... całą ideę... dla osobistej rozkoszy!... Stało się!... Tak to z ładnemi oczami... Ale czy ja doprawdy dla oczu tylko padłem? dla czysto zmysłowych wrażeń?... Nie jestem dziś sobą — nie pora się sądzić, ale ja czuję, że nie!... Żona moja nie jest w tem bez wielkiej winy: ja chcę inaczej być kochanym, ja chcę być rozumianym — odczutym tak — jak umie ona — Kamila. To mnie podbija!... Więc... znowu miłość własna!...

O bij, bij we mnie ty twardy głosie sumienia, bym cię nie stracił — wywiedź mię z tego koła!.. Czego ja jednak ją podejrzewam cią-

gle?.. Czemu ona nie jest tak jasną, jak Bronisława, jak Marynia — moja żona! Albo ja jej robię za ofiarę serca krzywdę... albo ona jest strasznym, krwiożerczym pająkiem, który siecie swoje umie szatańsko rozsnuwać!... Czy ona mogła, czy miała prawo, czy może mieć usprawiedliwienie przynajmniej tego, co zrobiła ze mną?! Jeżeli mię kocha... jeżeli się sama zakochała... ha, to może — może i ma prawo, usprawiedliwienie przynajmniej... Bo czemżeżbym ja się usprawiedliwił? a przecież... Boże mój... choć spełniłem czyn... prawie nikczemny, w każdym razie — mały — podłym nie jestem! nie, stokroć nie!... Czyn mój jest chwilą... ja... jestem sobą... całością!... Tę całość ratować... czy ja potrafię!...

SCENA II.

(Wchodzi Marya. — Jakiś czas cisza. — Kazimierz ma przed sobą książkę, Marya niby za czemś przyszła, wreszcie mówi).

MARYA.

Zawadzam ci pewnie?

KAZIMIERZ.

Masz ze mną o czem mówić? — służę ci!

MARYA.

Właściwie nie mam o czem mówić długo; rzecz ta jest już tak widoczna...

KAZIMIERZ.

Jaka?

MARYA

Nie udawaj!... musiałbyś wprzód zapisać się do jej szkoły, tej zalotnicy, którą kochasz... Wczoraj aż śmiesznie było, jak ją adorowałeś... a ona była na tyle bezczelną, że przyjmowała twoje hołdy!. .

Nie wiem tylko, co będzie z Józefem? Powiedział ci wczoraj przecież pewnie jak i mnie, że się jej oświadczył... ładnie musisz wyglądać w jego oczach!...

KAZIMIERZ.

Nie każdy patrzy twojemi oczami: nikt nie mógł — prócz grzeczności, którą gospodarz domu dla wszystkich mieć powinien, nic nadzwyczajnego dostrzedz w mojem postępowaniu...

MARYA

Mówić ci tego nie będą... pewnie, ale — co myślą, to ja wiem.

KAZIMIERZ.

Proszę cię odkądże ty tak w myślach czytać umiesz?... A prawda, powinienem był o tem wiedzieć, boć przecież nieraz naprzód Zosi wypowiadasz jej zamiary... naturalnie zawsze złe... a także i służącej i... także złe... Już to masz szczęście do odgadywania — złych zamiarów!

MARYA.

Więc jakżeż nazwać zamiar twój i jej? Czy dobrym? Ty... szlachetny profesorze... wzniosły poeto!... masz zamiar mnie zdradzić... ju-

żeś zdradził nawet... Ona? O! ona... wyśmiać cię... już się nawet śmieje!

KAZIMIERZ.

Więc wiedz, że cię zdradziłem, że kocham ją!

MARYA.

Ha! łotrze! potworze! Ha! wylecę na ulicę.. krzyczeć będę na cały głos...

(Kazimierz ją powstrzymuje).

Puść mnie, bo powiem, że mię dla kochanki bijesz! Puść mię! (rzuca się na ziemię, targa włosy, bije głową o ziemię i spazmatycznie jęczy) O! o! o!

KAZIMIERZ.

Opamiętaj się, co robisz!... Nie jesteś żoną drwala! Ja nie pogardzam żadnym stanem, ale każdy stan ma swoje zwyczaje i obyczaje!...

MARYA (ciężko oddychając i uspakajając się zwolna).

Wolałabym być żoną drwala, byle mnie nie zdradzał, byle mnie kochał...

Powiedziałam ci, że jestem kobietą starej mody. Zresztą... żal — gdy serce rozrywa — gniew gdy od pamięci odwodzi — czy u pana, czy chłopa, czy uczonego — czy prostaka: ma tę samą fizyognomię!... Co mnie tam... nie mam nic do stracenia!

KAZIMIERZ.

No, i ja nie wiele!... Szczęście, że nie ma Zosi i służącej — ale i tak kochani sąsiedzi już

może wszystko słyszeli!... Ile ja przez ciebie wstydu się najadłem?... ile poniżenia?... Ach, że aż pogardzać przychodzi samym sobą, że... unikać przychodzi wzroku ludzkiego!

MARYA.

O! owszem — przecież nas zawsze miano za wzorowe małżeństwo, nawet zazdroszczono nam!... Mieli czego zazdrościć! sierocej doli mojej?!

KAZIMIERZ.

Słuchaj Maryniu! Czy ty... po za sobą, po za swoja krzywdą, jak całe nasze pożycie lubisz nazywać... nic już doprawdy nie widzisz?

Czy ty nie widzisz krzywdy mojej także?... Jakąż wartość ma twój trud, twoja praca, twoja wierność — twoja — niech będzie — miłość nawet, jeżeli to wszystko zaprawione od początku do końca wyrzutami — tak cierpkimi — tak ciągłymi, że od słuchania ich chciałoby się uciec, gdzie na kraj świata! Czy ty nie liczysz się z tem, że może i ja mam choć trochę ludzkości w sobie i uczucia dla Ciebie? Ośmieliłbym się nawet powiedzieć — mimo wszystko — i dziś jeszcze: ty nie masz przyjaciela nademnie!... Czy nie przypuszczasz, że mam trochę pamięci i wiem, że uważasz się za niewolnicę przy mnie — w każdym razie — dobrowolną?

Czy nie przypuszczasz, że umiem już doskonale cały twój różaniec niewoli i czy nie mogłabyś oszczędzić mi powtarzania go?

A może czasem milczenie moje wprowadza cię w błąd? Wiedz, że nie robię tego ani z obojętności, ani z obawy, ani z pogardy! Przekonałem się tylko, że nie jestem prorokiem w swojej ojczyźnie i — choćbym w mądrościach się przesadzał — nic nie poradzę!... Ulubionym twoim zarzutem bywa także: że jesteś — sługą... O moja droga, w każdym razie — za śmiałą — co najmniej!... No, i jeżeliby już tak przyszło sądzić — za kosztowną!...

Jesteś sługą, o ile się za nią chcesz uważać i — o ile potrzeba!... Zresztą... któż z nas nie jest sługą? ty mniej niż ja, bo ty jesteś nią sobie tylko... Więc jak to wszystko ci zbiorę i przedstawię, — a nie zaprzeczysz, że tak jest — to — ty mnie nie zdradzasz?...

To wszystko jest w porządku?

Ja wprawdzie nie powiem, że kochasz kogo innego, ale mnie nie kochasz, ale moje nadzieje wszystkie zdradziłaś — wszystkie moje marzenia — powiedzmy trzeźwo — wyobrażenia — dawno zdradziłaś!

MARYA (łagodnie).

Mój Kaziu!... chwilę dzisiejszą przeczuwałam, bo ci mówiłam, że dawno jedna myśl ciągle mię męczy. Gdy przyszła, mimoto przyszła jak grom; trudno, tak już jest na świecie! Nikt nie wie, jak zniesie śmierć swoją, chociaż jest jej pewny — a czyż dla mnie dziś nie jest śmiercią? Może nawet być śmiercią istotną — umarciem ciała, bo... po pierwsze .. ja odjadę,

rozłączę się z tobą a po drugie, nie wiem, czy — i jak długo rozłączenie wytrzymam?

Czy ja wiem? Cóż mi na życiu zależy? — rzucę się z okna, może truciznę mi kto da? może dostanę obłąkania? — czy ja wiem?... Ale ty widzisz, żem się — stosunkowo — już uspokoiła: — przygotowanie coś znaczy!... Słuchałam twoich słów dość uważnie i — nie wypieram się — byłam nieraz złą..., choć, Bóg mi świadkiem..., z miłości, a przy miłości — zazdrość być musi.

(Kazimierz robi minę przeczącą).

Nie przecz temu, boś ty mię nie kochał tak, jak ja Ciebie; ale o n i ą... już jesteś... lub będziesz zazdrośny!... Ja jednak oprócz ż a l u m i ł o ś c i, mam jeszcze i ż a l d u m y! Dla czego j e j mam ustąpić? J e j, która gra komedyę, że cię rozumie! kłamie!... Gdyby to była Bronisława, a... z tą nie mogę się równać. Ale o n a? Ona nie tylko ciebie nie warta, ale stokroć mniej warta cię niż ja!

Słuchaj Kaziuniu! Jak teraz ręce, gotowam nogi twoje całować... Ty jesteś człowiek dobry, szlachetny..., ty będziesz wiele cierpiał... więcej jeszcze z nią!...

Mnie żal ciebie! żal bardzo! Żal mi tego wszystkiego, co tu zostawię, do czegom się tak bardzo przywiązała — każdego gałganka małego!... dla niej — to wszystko obce!... Nie rozdzieraj mi serca!... Ja się poprawię!... przecież i najwięksi zbrodniarze się poprawiają!... Zerwij z nią — wynajdź pozór... i niech ona

do nas nie chodzi, niech Zosi nie uczy!... Będzie to i dla dziecka lepiej, z pewnością!

(Kazimierz chce przerwać).

Czekaj — jeszczem nie skończyła... Możesz powiedzieć, że Zosi nie kocham... Trudno, nie moje dziecko, nie mogę jakoś... ja tak pragnęłam mieć własne!... Łudziłam się, że to będzie to samo... napierałam na ciebie, byś ją wziął. Zdradziłam cię i tu! ale ja ją, choć ostro, choć może bez macierzyńskiej miłości... jednak — uczciwie prowadzę, a... ona?... Zerwij z nią, Kaziu, ja zostanę!... Wybierz między nią, a mną! Zdradziłam cię... ale inaczej, ja czuję, że inaczej i to naprawię! tamto... co innego!

KAZIMIERZ.

Nie! Bo ty bierzesz rzeczy tylko zmysłowo... cieleśnie!

MARYA.

A ty? ty... nie pożądasz jej zmysłami? —

KAZIMIERZ.

Nie igraj z ogniem Maryniu! Ty mi podsuwasz myśli niebezpieczne!

MARYA.

Nie miałeś ich? dobrze..., niech będzie..., ale ja ci oczy otwieram, nim coś niebezpieczniejszego przyjdzie, niż myśli moje... jej... zmysłowe ciało!... O, o bo wierz mi... ona nie tylko jest zalotną, nie tylke zwycięztw pragnie, ale i opłaty zwycięztw, użycia rozkoszy nierządnicy!

KAZIMIERZ.

A wiesz, że trzeba być tobą, aby mieć taką śmiałość!

MARYA.

Nazwij mię bezczelną nawet, mniejsza o to... Wszystko daruję ci, choćbyś się uniósł i uderzył mnie, — ale ją odpraw i dla siebie... i dla Zosi... i dla ludzkiego oka — dla szkoły!

KAZIMIERZ.

Nie... właśnie dla tych powodów nie zerwę z nią!... Nie przeczę... nie jest mi Kamila obojętną! Mogę więc mieć pobudkę samolubną, że się z nią rozstać nie chcę... Ale właśnie... chcę, żebym się zwyciężył w pokusie przy niej, kiedy ona jest! Chcę walki z nią — nie ucieczki!

Dla oka ludzkiego, dla Zosi, dla szkoły, także... musi zostać; gdybym bowiem z nią zerwał, wtenczas dopieroby powiedziano: w tem coś było!... To coś... z pewnością nie pochlebiałoby mi, ani — grzeszyłoby skromnością!

A w końcu: daruj, nie chcę cię drażnić... zbyt dziś jesteś dotkniętą... ja coś i jej winien jestem, w obec twoich zarzutów! Jej tu nie ma — nie słyszy tego i nie może się bronić, ale skoroś mię tak ściśle z nią złączyła, więc... poczuwam się do obowiązku honoru i sumienia: stanąć w jej obronie i zażądać dowodów!... Te dowody... mógłby ci dać czas tylko, jeżeli je w ogóle da!... Poczekaj więc... nie żądaj zerwania zaraz... Później... nie od-

mawiam, tem mniej, jeżeli będzie istotna przyczyna!

MARYA.

Święci uciekali przed pokusami... takiemi, a ty... chcesz być więcej niż świętym? — To nie pieniądze! miliony bym ci powierzyła — i wiem, że gdybyś sam był biedny — jak żebrak — wyszedłbyś czysty, jak anioł!... Ale — kobieta... taka, jak ona... Ty jesteś dzieckiem wobec niej!... Ty chcesz może ją poprawiać? ratować? żal ci jej?... ona ma swój rozum!... Ona ciebie zgubi, nie ty ją wyratujesz! Pragniesz dowodów?... A anonimy?... A historye różne półtajemnicze, które o niej krążą?... O wierz mi, tam coś w jej przeszłości jest na dnie... bardzo wstrętnego!... Nie żądaj więcej dowodów, bo nawet to, co do dzisiaj się stało z Tobą, jest dostatecznym dowodem!

Ja — albo ona!

KAZIMIERZ!

A gdybym ci dał słowo honoru, ty wiesz, co ono u mnie znaczy...

MARYA.

Nie! Ja — albo ona!

SCENA III.

(Wchodzi ZOSIA — ze szkoły).

ZOSIA.

Czy dziś nie będę miała lekcyi muzyki?

KAZIMIERZ.

Dlaczego się pytasz? Czy ci kto mówił — że nie?

ZOSIA.

Mówiła Filcia Śniegowska... teraz jak wchodziłam do sieni... powiada mi: — „Już panna Kamila nie będzie przychodziła do ciebie!“ Ale może ona tylko droczy się ze mną, bo mi zazdrości.

KAZIMIERZ (do Maryi).

Widzisz Maryniu — a co? Już pani Śniegowska wysnuwa kombinacye... już oczko jej — a raczej uszko — grało rolę... (do Zosi). Nie, moje dziecko, nie słuchaj żadnych plotek — dziś panna Kamila przyjdzie do ciebie na lekcyę!

MARYA.

Przyjdzie do t a t k a twego! Do s w e g o ko —

KAZIMIERZ.

Milcz! (gwałtowny ruch).

ZOSIA.

Tatku! tatku! co tatko chce zrobić! (chwyta go za rękę).

KAZIMIERZ.

Wyjdź Zosiu!

MARYA.

Nie, to ja wyjdę — i już mię nie zobaczysz więcej! (szybko wychodzi porwawszy kapelusz i pa-

rasolkę. Zosia wybiega za nią. Kazimierz wzburzony stoi jak wryty).

SCENA IV.

ZOSIA wraca, służąca się pokazuje.

ZOSIA.

Mamcia odjechała dorożką — nie mogłam dopędzić.

KAZIMIERZ.

Moje dziecko... potrzebuję trochę spokoju. Czy Kasia przyszła już z miasta?

ZOSIA.

Właśnie wtenczas, gdy mamcia wsiadała do fiakra.

KAZIMIERZ.

Nie pytała cię — dla czego?

ZOSIA.

Pytała się, ale ja powiedziałam, że nie wiem, gdzie mamcia jedzie!

KAZIMIERZ.

Bo też nie wiesz, moje dziecko — idźże do Kasi i z nią się zajmij czem, nim lekcya będzie!

ZOSIA (całując w rękę Kazimierza — na pół prosząco i pytająco). Tatko pójdzie po Mamcię?

KAZIMIERZ

Zobaczysz — nie pytaj o to! (Zosia wychodzi).

SCENA V.

KAZIMIERZ.

O nie... tym razem nie pójdę!... Podobne dziwactwa... za często się powtarzają, a że im ulegałem... było błędem!... Nie, tym razem prosić nie będę... wrócisz sama... albo nie wrócisz!... Dość tego!... Lepiej raz stanowczo skończyć: to tylko męka bez wyjścia, to powolne konanie, to zabijanie wszystkiego w sobie, co życie — i tak z natury marne — cennem czynić może!... Nie... skoro mię doprowadzasz do tego, bym wybrał... to niech już będzie... ona!... Jej serce mię zrozumie, jej dłoń ochłodzi palące czoło!... Ona zada kłam tym zielonookim potwarzom! Niech będzie ona!...

(Wchodzi Kamila i oryentuje się przelotnie).

KAZIMIERZ.

Sam jestem — sam, pani moja! Sam, moja droga, moja ukochana Kamilo!... Stało się!... Jestem i zostanę sam!... Nie pytaj na razie... potem się dowiesz! (przypada do niej — chwyta jej rękę i namiętnie całuje. — Ona się słania — pada w jego objęcia, on przyciska jej usta do swoich — całuje jej oczy, czoło — potem znowu ręce).

Kocham Cię całem sercem — całą duszą! Moja jedyna ty, moja najlepsza... całe dziś szczęście moje!!

KAMILA (z lekka uwalniając sięz jego ramion).

Tak! tak — tak mów — pieść, całuj...

Niech się rozpłynę w Twych ramionach, niech umrę w tej chwili... To warto, warto, bo

to dla ciebie, przez ciebie... Bałam się, że mię tylko pożądasz... nie przeczuwałam, żeś mię tak pokochał! Złoty mój Kaziuniu!... złote włosy... oczy, usta moje kochane!... Jedyne ręce moje!... daj mi je, niech ucałuję (całuje ręce Kazimierza). O jak ja je czciłam zawsze!... Tak pragnęłam służyć tobie!... spełniać skinienia twoje — być bodaj cieniem ciebie!... O, jak ja wielbiłam duszę twoją!... Jak ja ją kochałam!... Wiesz, że można w myśli pieścić więcej... świetlaniej... Jam tak pieściła ciebie!... Może mam jakie wady, może chcesz, bym się w czem zmieniła? Może stroję się zanadto, — późno wstaję, — mało robię?!... Powiedz, spełnię wszystko jak niewolnica twoja!!

KAZIMIERZ.

Jakaś ty dobra — złoto moje! Czy mogłaby przemawiać tak kobieta, która nie kocha? Nie! Ty chyba musisz mię kochać!... Długi czas walczyłem i ja ze sobą, pytałem się sam siebie, co się dzieje we mnie? Czy to przyjaźń, życzliwość, czy co innego?... Och, niestety, zacząłem w końcu i ja w przebłyskach myśli... obejmować ciebie, tulić... nazywać pieszczotliwemi imionami: Kamilko... Milu, Miluniu moja!... Ale zaraz się otrząsałem... Radbym cię był nie widzieć więcej, albo za mąż cię czemprędzej wydać... Możebym kiedy was odwiedził i dziecię twoje całował!... tak się pocieszałem i usprawiedliwiałem!... Tak się ratowałem!... Możebym był i wybrnął... ale... ugor mego serca — w domowem pożyciu — zarastał coraz

bujniejszymi chwastami!... Dziś się dopełniła czara!... Co będzie?... nie wiem, ale to wiem tylko, że gdy u mnie — po takich walkach — uczucie jak płomień wulkaniczny wybuchnie i padną takie słowa, jakie do ciebie powiedziałem, to tych słów, jako żywo nie cofnę!... Chybabyś ty kazała sama — albo — chybabyś i ty mię zdradziła!...

KAMILA.

Nie, mój Kaziuniu! Ja ci cofnąć twych słów nie każę — ja takiego uczucia wyrzec się nie mam siły, choć wiem, niestety, że łzy i przekleństwa ściągam na siebie! Choć wiem, że jak złodziej w cudze prawa się wkradam! Ciebie, choćby ukraść... szczęście!... O zdradzie mi mówisz?...

Boisz się, nie dowierzasz złodziejowi twemu? — myślisz może: kto potrafi to, kto się uprawni i rozgrzeszy z jednego, może rozgrzeszać się i dalej...

Nie, ja tego naszego przykładu nie śmiałabym porównywać z innymi, byłyby one bowiem krzakami przy królewskim dębie!... Niech świat sobie gada, ale jest także wielkie prawo serc, które z utartych zwyczajów drwić może! Nie chcę i ja myśleć: co będzie, — wystarczy mi to, co jest! Zanadto jestem szczęśliwą, by myśleć, zanadto szczęśliwą!

KAZIMIERZ.

Tak! ty mię odrodzisz, ty mię uratujesz, wybawisz z oschłości i martwoty, w którą za-

padać zacząłem; przywołasz napowrót do życia tę pełnię sił, która się rwała do tworzenia, do działania, a której skrzydła podskubywano mi ciągle!... Tak będzie, prawda, ty nadziejo moja? Miluniu złota! Chciałbym, żebyś była dobrą jak to słonko Boże — zawsze bardzo dobrą — łagodną — słodką! Jakże mi tego trzeba było, a jak zawsze brakowało... Dobrą, Miluniu! czy ty pojmujesz, ile to słowo mówi. Życie mię nauczyło, że świat nie może większego wydać arcydzieła nad dobrą kobietę.

KAMILA.

Będę się starała zbliżać do ideału dobrej kobiety, pod kierownictwem idealnie dobrego mężczyzny!

KAZIMIERZ.

O niech cię uścisnę raz jeszcze! Niech cię rozcałuję całusem anioła!

(Podczas, gdy się obejmują i całują słychać stukot pode drzwiami i szybko oddalające się kroki. To oprzytamnia obojga, zrywają się).

KAZIMIERZ.

Ach! Zosia jest w domu i służąca. Może Zosia co widziała...? Służąca; oj, te służące! To nakazuje zaraz myśleć, co dalej?

KAMILA.

Ja zacznę lekcyę, dobrze Kazieczku?!

KAZIMIERZ.

Na razie to — będę miał, choć trochę czasu do namysłu!

(Otwiera drzwi i woła). Zosiu!

SCENA V.

(Zosia wchodzi trochę zmięszana, Kazimierz także zakłopotany. Jedynie Kamila zupełnie swobodna).

KAMILA.

Spóźniłam się trochę z lekcyą... Za to dłużej posiedzę z tobą... cóż to, nie witasz się Zosieńko ze mną jak zawsze?

(Zosia się przybliża).

No chodź! chodź! ty bachorku jedyny — zostawimy tatkę. Dalej do roboty.

(Pociąga Zosię; całuje ją i wychodzą).

SCENA VI.

(KAZIMIERZ sam, potem MARYA, słychać ćwiczenia fortepianu).

KAZIMIERZ.

Przedewszystkiem muszę napisać do szkoły, że dziś przyjść nie mogę... Nie! nie mógłbym uczyć, myśleć... może i w oczy patrzeć spokojnie! Muszę się oswoić z nowem położeniem choć trochę (pisze bilet — zalepia kopertę i na chwilkę wychodzi). Tak, to jedno!

Druga rzecz — co zrobić ze Zosią? Tak być nie może... Ha, trzeba ją oddać do zakładu! Biedne dziecię moje!... Ale miałem już nie raz zamiar to zrobić... tak lepiej — lepiej będzie! W takim razie zniknie jednak nawet pozór, by Kamila widywała się ze mną!

Nie! nie, ja dziecka sobie poświęcić nie mogę — nie mogę więcej gorszyć!... U niej bywać?... za nic w świecie! Tam mógłbym się spotkać oko w oko z Józefem lub Bronisławą. A więc się wyrzec?... kochać widziadło, marę?... Dla mary zatem wszystko się stało, co się stało? Dla mary z żoną zrywam? Dla mary wyjawiłem miłość innej?... Nie! Żona miała słuszność mówiąc: Ja — albo ona! Więc... Co we mnie przemawia? Czy to głos logicznego rozumu, czy namiętności?... Z nią żyć?... Ha, ha, a świat, a kapłaństwo mego zawodu?... i jej zawodu?... Gdzie ja się toczę... gdzie ja się zatrzymam?!

(Wchodzi Marya).

MARYA.

Zdziwiłeś się?! A może i nie, bo ty już mnie znasz, że jak gorąca jestem, tak niewytrzymała!... Ale nie, tym razem byłabym spełniła postanowienie, tylko... los tak chciał widocznie... w drodze spotkałam Bronię!... To anioł kobieta!... Kłania się... mnie coś pociągnęło. — Wysiadłam, odprawiłem dorożkę i poszłam z nią razem. Miałam zamiar pierwszy: wpaść do nich — zrobić Kamili scenę, ażeby

bodaj w ten sposób zemścić się na niej za moją rozłąkę.

Bronia mię wstrzymała, wzięła na siebie rozmówienie się z Kamilą, utuliła delikatnie, tak słodko, mój ból i tak przy tem szanowała ciebie... Wreszcie... poszłyśmy do kościoła... Boże mój!... jak ja się modliłam! Ach, bo nie zawsze można się modlić! I ona przy mnie się modliła... Uspokojenie jakieś, dawno nieodczuwane, zawitało do mej duszy, przemówił głos dobry: Wróć! — ukorz się!... on przebaczy!... Gdyśmy wyszły, ten sam głos anielski zabrzmiał w jej ustach... Co to za kobieta jedyna?! Inne mię buntowały... rozniecały we mnie płomień zawiści i zemsty, rozmaitemi plotkami, podszeptami... ta... całuje mię jeszcze w rękę i prosi:

Zostań pani! Nie jest tak źle, Bóg wszystkim jakieś krzyże zsyła... Ciężar krzyża staje się słodki, gdy się zwyciężymy, gdy nie uciekniemy z pod niego... Nie tylko słodki, ale i zwycięski!... (do Kazimierza wprost) Przebacz mi... szalona jestem... nieszczęśliwa z tą szalonością... przebacz, ja się już godzę na wszystko! (całuje go w rękę)

Za mało ci tego? klękam przed tobą (klęka) daruj mi!... Może mi będzie zrazu trudno, ty wiesz, gorączką jestem — cudem od razu może nie, wyrzucę ze siebie tego licha mego, ale... będziesz widział... co dzień, co tydzień, co miesiąc — postęp! Jeśli nie, to napędź mię wtedy, bo istotnie niczegobym nie była warta!

KAZIMIERZ (podnosząc ją łagodnie).

Daj spokój! kto klęka przed człowiekiem! Ja się nie gniewam na ciebie. — Ja ci wszystko przebaczam, tak jakbym pragnął, byś ty mi przebaczyła i Bóg nam przebaczył!... Ja nie umiem zresztą być zawziętym... ale... już zapóźno!

(Zosia przerywa ćwiczenia i odchyla drzwi).

ZOSIA.

Mamcia! mamcia! (przybiega ucałować jej rękę).

MARYA.

Jak się masz Zosiuniu! Ja ci tu coś przyniosłam (podaje jej cukierki).

ZOSIA.

To nic, ja się mamcią cieszę (przez drzwi). Proszę pani pozwolić mi już przerwać lekcyę, bo mamcia przyszła!

KAZIMIERZ (do siebie).

Dobre — kochane dziecię!

SCENA VII.

(Kamila wchodzi).

MARYA się przezwycięża i pierwsza podaje jej rękę).

Jakaż z Zosi uczenica?

KAMILA.

Lepsza będzie zdaje się, niż ja nauczycielka! Dawno dość nie uczyłam już muzyki, (znacząco)

a jak się przekonam, że zbyt zaufałam sobie... poproszę, byście mię państwo zwolnili od przyjętego obowiązku.

MARYA.

O nie! nie! Gdzieżby znowu, pani taka zdolna pod każdym względem... z takim małym smarkaczem nie dałaby sobie rady? Prośże Kaziu panią i ty!

KAZIMIERZ.

Taką natarczywą prośbę, gdy nie było stanowczej odmowy, możnaby zrozumieć wprost przeciwnie... Twoja prośba sądzę zupełnie wystarczy.

(Kamila się zbiera).

MARYA.

Pani już ucieka?... dlaczego? Niechże pani zostanie na chwilkę... każę podać herbaty...

KAMILA.

Dziękuję bardzo, ale mam godzinę w szkole i muszę się spieszyć.

MARYA.

Chwileczkę tylko. Niech pani zobaczy jaką materyę kupiłam sobie na suknię (pokazuje). Muszę się stroić dla męża, aby mu się podobać. — Starość nie radość!... Ładna?

KAMILA.

Bardzo ładna! Pani jej doda wdzięku.

MARYA.

Zawsze pochlebnica!... Gdzie ty wychodzisz Kaziu?

KAZIMIERZ.

Muszę być w mieście na chwilę.

MARYA.

Może później trochę? Przecież nie zostawisz mię tak bez wyjaśnienia!

KAMILA.

Żegnam państwa. Pa! Zosieczko!

(Żegna się i wychodzi).

KAZIMIERZ.

Muszę być koniecznie zaraz; wrócę za chwilę. Potem ci wszystko wytłumaczę (wychodzi).

MARYA, (znowu się przezwyciężając).

Do widzenia!

SCENA VIII.

MARYA.

Pewnie razem poszli, ale... nie będę ich śledziła... zrobię i tę ofiarę...! Jakże to ciężko przełamywać swą naturę? Jak odrazu próba po próbie przychodzi! Boże, żeby choć nie za wiele naraz! Boże, żebym wytrzymała! (głośno). Chodź no tu Zosiuniu! (Zosia przybiega, Marya ją pieści i całuje). Mamcia włoski poprawi i sukieneczkę. Oj ta Zosia nieuważna!... Jak mi zostanie ma-

teryi, to coś i tobie uszyję, i dla twojej lali... (Zosia całuje Maryę w rękę). A teraz idź dziecino, powiedz Kasi, aby samowar był gotów jak tatko wróci.

(Wchodzi służąca).

KASIA.

A proszę pani — czy — i dla pana herbata?

MARYA.

Jakżesz ty nierozsądnie się pytasz?

KASIA.

Bo... pan... poszedł z panną... to nie wiedzieć — czy prędko wróci?

MARYA.

Ciebie to nie powinno obchodzić!... Już ja wiem, kiedy pan wróci, skoro ci wydałam rozkaz.

KASIA.

Nie mój w tem rozum, ja mam słuchać!

MARYA.

Cóżeś się ty zrobiła tak terkotliwa?... tobie coś na języku się plącze?

KASIA.

Ja mogłam źle widzieć, źle się domyślać...

MARYA.

Co źle widzieć?. . czego się domyślać?...

KASIA.

No, ale była i Zosia... Do dziś... ha jeszcze, jeszcze... Ludziska gadali, że pan niepotrzebnie odprowadza zawsze pannę, że mogłaby sama pójść, albo, że ja do tego...

MARYA.

Dość... (do siebie) znowu próba!

(Kasia chce odejść).

MARYA.

Nie, zostań! (do siebie) nie mogę! (głośno). I cóż dziś? Dlaczego dziś tak ważne?

KASIA.

Do dziś ja zamykałam ludziom gęby, bo ja nie do tych należę, co to jak w służbie, to państwu wróg. „Nie wiecie, co pleciecie“ mówię. Ale...

MARYA.

Jakież ale?... Przecież jestem?!

KASIA.

E, to nie to!... A pani gotowa się pogniewać?

MARYA.

Mówże raz!... Skończ to!

KASIA.

Pan... pannę ściskał, obejmował i całował, a jak całował? Ach, jak się całowali!!... Niech

się pani nie gniewa, nie martwi. — Mnie się tylko zrobiło żal pani, żeby tak ją oszukiwać!... Niechże pani będzie spokojną.

MARYA (gwałtownie).

Spokojną, mówisz?! Jeszcze i teraz można być spokojną? Zawołaj Zosię!

KASIA (całując jej rękę).

Niech się pani nie gniewa! (odchodzi).

MARYA.

Ha!! (wchodzi Zosia z radością. a potem nieśmiało).

ZOSIA.

Mamci coś jest?

MARYA.

Zosiu! Lekcya twoja długo trwała?... Dawno się zaczęła?

ZOSIA.

Nie bardzo dawno! Dziś zaczęła się później!

MARYA.

Musiała nauczycielka się spóźnić?

ZOSIA.

Która? w szkole?

MARYA.

Głupiaś! ta twoja — od muzyki!

ZOSIA.

Panna Kamila... rozmawiała coś z tatkiem przed lekcyą.

MARYA.

To tatko wysłał cię umyślnie do kuchni i nie kazał ci wchodzić, aż zawoła?! Prawda że tak?

ZOSIA!

Ja się mamci boję.

MARYA.

No, nie bój się, nie... tak, prawda?

ZOSIA.

Tatko chciał mieć spokój i powiedział mi bym się zajęła czem w kuchni z Kasią. Ona potem podeszła pod drzwi od pokoju tatki i koniecznie mię tam wołała!

(Kazimierz wchodzi i poznaje wszystko).

SCENA IX.

MARYA.

No idź już, idź teraz!

KAZIMIERZ.

Tyś dziecko badała!... Włosy na głowie stają, co się tutaj dzieje!... I to jest twoja poprawa, kobieto? i ty masz Boga w sercu?... O, ja to wiedziałem!...

MARYA.

Nie mam Go, bo jeżeli takim oszustom pozwala żyć, jak ta szelma i ty drugi — to albo Bóg nie jest Bogiem... albo go wcale nie ma! (Kasia wnosi herbatę).

KAZIMIERZ (do służącej).

Zostaw! sam wszystko zrobię! Idźże! (służąca odchodzi powolnie).

MARYA.

Zbytnia ostrożność — Ona wie, żeś lokajem Kamili, w którym ta nierządna pani zakochała się na chwilę... Dobrzeście się wycałowali?... Przyjemne czasy przebyliście?... A ja się wtedy modliłam i — wierzyłam! Ha! ha! ha! Jaka ta Bronisława głupia, jaki ten świat cały głupi!

KAZIMIERZ.

O żmijo! żmijo!

MARYA.

Ach, gdybym miała jad żmiji, ukąsiłabym ją najpierw w samo jej łajdackie serce, a potem ciebie — paniczu!

Bodajby zgniła żywcem, bodajby ją robactwo stoczyło zawczasu!...

Widzisz... gdzież twój honor się podział? Słowo honoru!... Dowodów kazałeś mi czekać? Masz! o, i jak prędko!... Cóżby do jutra było — przez noc?...

KAZIMIERZ.

Pamiętaj, że rozdarłaś już bezpowrotnie nasz związek... Skończyło się wszystko!... Natychmiast o rozwód wniosę!...

MARYA.

Ha, ja wniosę! nie ty! Podły łotrze!

KAZIMIERZ.

Milcz! Ty... ty wiedźmo, piekielnico!

MARYA.

Wrzeszcz, wrzeszcz ile ci się podoba; dawno bać się przestałam ciebie!... Sprowadź ją tu sobie... sprowadź... O, istotnie, — zrobisz jej wielkie dobrodziejstwo!... Palcami na nią wskazywać będą... ta... ta... nauczycielka... Prędko się doczekam, że sobie oczy powydzieracie!... że cię wywiedzie na dudka, a sama pod płotem zdechnie!

(Kazimierz rzuca książką w Maryę).

Ty we mnie?... ale niech tam... dość, bo bym cię doprowadziła do tego, żebyś na haku wisiał!... Nie... będziesz się żarł najpierw w sumieniu... że ja się powieszę... tylko nie tu... tu mię już nie zobaczysz, nie bój się! (odchodzi).

SCENA X.

Wchodzą: ZOSIA i KASIA.

KASIA.

Proszę pana — list rekomendowany — recepis proszę podpisać.

KAZIMIERZ (odbiera machinalnie).

Jak śmiesznie takie drobiazgi wyglądają przy bolu ludzkim? Ale — świat musi mieć swój porządek! (podpisuje i oddaje). Za chwilkę przyjdziesz.

(Kasia wychodzi).

ZOSIA (zbliża się do Kazimierza).

Tatku! co ze mną będzie?

KAZIMIERZ.

Jakież to straszne pytanie! Dlaczego mię o to pytasz Zosiuniu!

ZOSIA.

Bo mamcia nie wróci... Nie! ja nie słuchałam pod drzwiami. Już mię Kasia więcej nie namówi! Ja czuję, że to źle było!...

KAZIMIERZ.

Więc Kasia słuchała i teraz... i powiedziała ci?

ZOSIA.

Tateczku! To tak głośno było, że Kasia, musiała okno przymknąć i drzwi, bo ludzie zaczęli wychodzić i słuchać...

KAZIMIERZ.

Tatko cię odda do dobrych pań, do pobożnych zakonnic, abyś się tam uczyła.

ZOSIA.

I tam już zawsze zostanę? I nie zobaczę już ani tatka, ani mamci, ani żadnej z koleżanek?

KAZIMIERZ.

Nie! nie! Jak wyrośniesz i wyuczysz się — tatko cię odbierze... Będę cię zawsze odwiedzał — przynajmniej co niedzieli!

ZOSIA.

I mamcia?

KAZIMIERZ (po namyśle).

I mamcia także!

(Kasia wchodzi).

KAZIMIERZ.

Jak długo u nas jesteś?

KASIA.

Pięć lat będzie tej jesieni.

KAZIMIERZ.

Ile brałaś z początku?

KASIA.

Cztery reńskie!

KAZIMIERZ.

A dziś?

KASIA.

Siedem reńskich, na korony nie umiem jeszcze dobrze liczyć.

ZOSIA.

Czternaście koron!

KAZIMIERZ.

Czyś wymagała dzisiejszej płacy?

KASIA.

Nie! Państwo sami podnieśli.

KAZIMIERZ.

Coś umiała, gdyś przyszła? Umiałaś gotować, prać, prasować, sprzątać dobrze?

KASIA.

Mało co — niektórego nic, ale dziś to już umię prawie wszystko. Czasem się jeszcze pani pogniewa... ale mało kiedy.

KAZIMIERZ.

A pisać i czytać umiałaś?

KASIA.

Nie! ale pan i pani mię nauczyli!

KAZIMIERZ.

A płaci ci się regularnie?... Może się z tobą kto źle obchodzi? Może cię zapracowuje? może ci się zabrania do kościoła chodzić — może co innego?

Powiedz!

KASIA.

Nie, nie mogę, bobym skłamała.

KAZIMIERZ.

A prawda, zalecał się do ciebie ktoś — zapomniałem nazwiska. Pani zakazała ci się z nim wdawać?

KASIA.

Z dobrego serca! To furfant — ten Antoni — zwiódł niejedną.

KAZIMIERZ.

Jeszcze jedno. O ile sobie przypominam, chorowałaś — nawet dość długo. Czy ci wytrącono co z płacy?

KASIA.

Nie! Państwo jeszcze sami chodzili koło mnie, płacili lekarza i lekarstwo!

KAZIMIERZ.

No, widzisz — ja myślałem, że masz jaką krzywdę? A jak bez krzywdy — ktoś krzywdzi drugiego, choćby swego pana, to jak go nazwać?

KASIA.

Nie rozumię!

KAZIMIERZ.

Nie rozumiesz?... a ja myślałem — że z ciebie zrobi się człowieka... Nie! widać, że zwyrodniałego gatunku dzisiejszych służących nikt i nic już nie poprawi. Kiedyś było inaczej... aleśmy sami... Et, tak idzie wszystko!

KASIA.

Nie rozumię nic!

KAZIMIERZ.

Ale to zrozumiesz, że zabierzesz do trzech dni swoje manatki i pójdziesz sobie gdzieindziej szukać służby, gdzie ci pozwolą pod drzwiami podsłuchiwać i kłamać!... Odejdź!

(Kasia ociera łzy i odchodzi — Zosia płacze).

No czegoż moje dziecko?! (bierze ją na kolana).

ZASŁONA SPADA.

ODSŁONA V.

KAZIMIERZ (sam).

Trzeba wreszcie wziąć się do czegoś... Energia moja na wypadki ostatnich dni tak się wyczerpała..., że nawet z apatyą przyjmuję szczęście... do którego tak pędziłem pospiesznie!... Ten list n. p. od Kamili... leży przedemną od godziny, ten drugi od trzech dni, tak — trzy dni jak żona odjechała — nawet nie przypatrzyłem się pismu czyje jest?... Gazet już z osiem; zadań czekają stosy!... Nie mam siły — nie mam woli... Weźmy się do czytania listów na początek... ona jużci ma pierwszeństwo...

(Otwiera list i czyta).

„Kochany, najdroższy Kazieńku!“

Bilecik od ciebie dostałam — mało słów — a tyle zdarzeń: teraz dopiero jesteś jak pustelnik... Oddając jednak Zosię do zakładu i oddalając służącą — zagrodziłeś i mnie wstęp do siebie!... Czemuż mi przyjść nie wolno? Czemu te głupie ludzkie względy raz nie znikną z tego świata?... Ty takbyś teraz potrzebywał pocie-

chy, może i pomocy... Pisałeś mi, że zamierzasz starać się o rozwód!... Proszę cię, Kazieńku, nie rób tego, bobyś mię tem zgubił! Chybaby... sama nie wiem jak ci o tem pisać?!...

Wolałabym, aby ciebie logika faktów, a jeszcze więcej uczucie, czy namiętność na to naprowadziły, żebyś sam wystąpił z propozycyą, czy żądaniem do mnie... Czy się domyślasz?... Trochę wątpię, bo ty jesteś za... dobry! Sądziłam, że prawa miłości są najsilniejsze, jeżeli nie największe... Po niedawnym fakcie... który tuż po najgorętszych uniesieniach miłosnych zaszedł... nie jestem już pewną!...

Niejedno legalne małżeństwo bywa pogwałceniem najświętszych praw ludzkich, miłości, zdrowia, serca i inteligencyi, usposobienia itd. i mimo to ma trwać? Ma do śmierci truć życie dwojga istot, truć wychowanie dzieci, zasiewać tem truciznę w całą społeczność?.. To są przecież niezbite kwestye, które grasują jako moralne choroby bez wyjścia -- coś niby tuberkuloza płucna?...

Tylko ludzie idei, którzy mają odwagę rzucić rękawicę przesądom oczywistym i — że tak powiem — nadużyciom sakramentalnym..., mogą chorobie tej cios zadać...

Wówczas przyjdą do władzy w całej pełni związki prawdziwej miłości, przepotężnego ku sobie pociągu, który biorą dwie istoty — zdaje się — ze swem urodzeniem, z tajemnego oceanu wszechtwórczej potęgi...

Jeżelibyś, mój Kazieńku, miał tę odwagę... podaj o rozwód!... Będziesz, jak każdy tragiczny bohater — walczący z utartym porządkiem rzeczy — miał kolce i bole: ja jednak stanę przy tobie, oddam ci się cała i słodzić ci będę dolę... o ile zdołam! Służyć ci będę, jak pies wiernie! Będę ci twoją adoptowaną żoną!... Co mię świat obchodzi? Co posada nauczycielki? Wszystko rzucę dla jednej z Tobą pieszczoty!... Albo, gdy zechcesz — będziemy żyli... w ślubie czystości... jak zakonni ludzie: choć nikt temu nie uwierzy. — Jeżeli zgadzasz się na to, to podaj o rozwód! W innym razie nie, bo przecież nie zechcesz — bym wplątana w sprawę..., nie tylko — wedle opinii świata — straciła dobre imię — ale i podstawę bytu — posadę moją. — Kochać cię będę zawsze, ale nie przeczę, że mniej i inaczej...

Już i teraz nie mało miałam do zniesienia! Musiałam się wyprowadzić od Kłopockich... Józef, coraz większą spostrzegał u mnie obojętność, a nawet niechęć, przytem z pewnością domyśla się czegoś więcej! Kto wie! Czy może przez Kasię — jeżeli o tem słyszała — wieści o rozwodzie nie rozeszły się za daleko?

W takiej sytuacyi nie miałam tam co robić ani godziny, tembardziej, że tybyś tam pewnie nie był przyszedł... Dobra Bronia nie opuściła mię i teraz; dziwny ten nasz stosunek z Bronią, chyba dla ciebie dałabym go sobie odebrać.

Podaję ci adres mojego mieszkania; zamiast pisać — przyjdź lepiej... Czekam cię

z otwartemi ramionami, żałując, że nie jestem tym listem, który twe oczy śliczne i drogie czytać będą... a może — czy ja wiem? może — i usta go dotkną!

Niewolnica twoja, jeżeli chcesz — dozgonna.

Kamila".

(Odkładając zwolna list).

Kwestya bardzo jasno postawiona... O rozwód jeszcze nie wniosłem... ale wnieść mogę! Szczęście się uśmiecha... Wszystko utorowane... Jest, idzie ci w ręce... rozkosz!... i ty się wahasz?... Czemuż nie całujesz po stokroć tego jej pisma — czemu nie wpijasz się oczami w każde jego słowo? Wyruszże się z apatyi!... Niech... ją tylko obaczę! wszystko się zmieni. Pójdę! pójdę... co będzie? — tam się wszystko rozstrzygnie.

(Podnosi się, a potem siada).

Przeczytam jednak jeszcze ten drugi list! A to od Henryka (jakiś czas czyta półgłosem, potem wyraźnie). „W czasie mojej ostatniej u was bytności poznałem pana Józefa Kłopockiego i pannę Kamilę... Przyznam ci się, że prawie zapomniałem był już o tych osobach, jakkolwiek uderzająca piękność panny Kamili powinnaby się mi silniej wrazić... Widzę, że naprawdę ze mnie kompletny filister... Przypadek zrobił jednak swoje!

Zetknąłem się z osobami, które dobrze dzieje pięknej pani znają, niestety — z nienajlepszej strony. Miała ona tu kilka, a jeden na-

wet daleko idący romans... Piszę ci o tem ze względu na ciebie i na twój dom, — zwłaszcza także, abyś się zupełnie wycofał od doradzania małżeństwa Kłopockiemu z panną Kamilą... Jeżeliby tego było potrzeba, — gotów jestem ci służyć bliższym opisem i nazwiskami osób. — Znasz mię zresztą i wiesz, że nie lubię plotek, a rzeczy tak obciążających, bez nabycia niezachwianej pewności, nigdybym nie podnosił.

Twój Henryk".

To już nie anonim! Tak, to Henryka pismo! (odkłada list).

Jak się to dziwnie składa: teorya poparta praktyką... Ciekaw też jestem, która z tych kilku istot, wspomnianych w liście Henryka, wzięła do panny Kamili ten przepotężny pociąg ze swem urodzeniem, z tajemnego oceanu wszechtwórczej potęgi?!... Możnaby tak próbować pociągi do końca życia... i pokazałoby się łatwo, że mój także nie jest tym przepotężnym, z urodzenia wziętym itd... Zaczynam filozofować i to trochę szyderczo!... Ale pójdę do niej — zobaczyć ją... usłyszeć!... Mój Boże — upadły anioł został szatanem, ale upadły człowiek ma prawo zostać aniołem!... Trzeba być chrześcijaninem... komuż jak nie takim podać rękę? Trzeba tembardziej, że i ja sam wobec niej zawiniłem! Może mój przykład do reszty ją potrąci na drogę jej niebezpiecznej teoryi i — praktyki... nie! muszę pójść! muszę! (podnosi się powoli i staje — znowu się zamyślając). Biedny Józef... toć on do mnie w niedzielę — o tym cza-

sie — na preferansa, z drugim towarzyszem, przychodził... Dziś nie przyjdzie, wie, że nie ma po co?... Z nim — nie mogę sobie darować... nie jestem w porządku, ale czy to nie lepiej? Cóżby było, gdyby się był ożenił i to jego legalne małżeństwo należałoby do gwałcących prawa przyrodzone... do tej tuberkulozy moralnej?... Biedakowi zrobiła nadzieję nadziei, a on to wziął za pewność... No, zdaje się, że ją to dość mało obchodzi, trochę... za mało!...

No chodźmy (słychać pukanie).

KAZIMIERZ.

Proszę! (wchodzi dwóch uczniów).

Jak się macie moi kochani chłopcy! Co mi powiecie?

PIERWSZY (uczeń).

Według polecenia pana profesora przyszliśmy powiedzieć, że dziś na wspólną naukę zbieramy się u kolegi Zbilskiego.

KAZIMIERZ.

Bardzo dobrze! Dużo was tam będzie?

DRUGI (uczeń).

Dziesięciu!

KAZIMIERZ.

A ma ten poczciwy Zbilski miejsca na tylu?

PIERWSZY.

Ma osobny pokoik, a nam wiele miejsca nie potrzeba.

KAZIMIERZ.

Tak, tak! kochacie się, — młodzi jesteście, — weseli, — to ściany wam się rozszerzają same!.. Jak tylko mi czas pozwoli, przyjdę do was, a jak będzie co trzeba, chętnie pomogę! Wyjaśnię! Ile macie takich miejsc zboru?

PIERWSZY.

Cztery!

KAZIMIERZ.

U mnie piąte — jak kiedy będzie trzeba... To się wszystko bardzo ładnie składa... Cieszy mię, że się myśl pożyteczna przyjmuje, że się skupiacie w przyjaźni i poważnej pracy!... Idzie przecież nie o to, aby wam klasy dobre, lub złe dawano, ale abyście się czegoś nauczyli, aby z was mieć ludzi!

DRUGI.

My jeszcze z jedną sprawą! Pan profesor zabronił donoszeń na kolegów, ale kazał radzić się, gdy któremu złego co zagraża. — Wiemy, że to nie na zgubę, ale dla ratowania!

KAZIMIERZ.

Możecie być pewni! Z kimże jest źle? I co złego?

PIERWSZY.

Gustaw Kłopocki nosi się z myślą samobójczą!... Kilku nas o tem wie, i my się naprawdę o to boimy, bo on jest bardzo smutny i rozdrażniony!...

KAZIMIERZ.

Czy przyznał się wam?

DRUGI.

Odkryliśmy u niego rewolwer... Zaczęliśmy go badać i z tego co z trudnością wyznał, przekonaliśmy się, że jest w wielkiej rozpaczy, która go nawet o śmierć przyprawić może...

KAZIMIERZ.

Z jakiej przyczyny?

PIERWSZY.

Zakochał się podobno w nauczycielce, która mieszkała u jego rodziców, a dwa dni temu się wyprowadziła...

KAZIMIERZ (drgnął).

DRUGI.

On, tak — jak my wszyscy — wierzy w pana profesora, jak w świętość — możeby panu profesorowi dał się przekonać.

KAZIMIERZ.

Dziękuję wam za zaufanie! Postaram się zrobić co mogę.... jak najprędzej.... Żegnam was!

(Odchodzą).

SCENA III.

KAZIMIERZ.

No i cóż ty na to, szanowny profesorze?! Gdzie wpływ tej kobiety zaczyna się, a gdzie

kończy?... Tak, tak, to jest okropny pająk... krwiożerczy, który rozpina szatańskie siecie na starych, młodych i najmłodszych, czyhając na coraz to nowe ofiary... To jedna z tych heroin świata — jak Dalille, Herodiady, Kleopatry, Popee, Pompadour i inne podobne... brak jej tylko dworu!... Okropne!!

(Siada, zamyśla się czas dłuższy — potem zsuwa się na kolana).

Boże wielki! Przez ten krzyż, wyniesiony do godła wiary i zbawienia, poniewierany znowu i zaprzeczany... podnieś mię!... O nie daj, by przyszło mi być gorszycielem tych, którzy tak we mnie wierzą!... Daj mi z nich zrobić twoich żołnierzy i żołnierzy narodu!

(Klęczy przez pewien czas milcząco, wreszcie zanosi się od płaczu, — słychać pukanie.

KAZIMIERZ (wstaje).

Proszę!...

(Wchodzi listonosz z listem).

KAZIMIERZ (uradowany widocznie).

.... To list od żony: będzie tam dużo może gromów, ale i łez serdecznych, to list uczciwy! Spodziewałem się go i nie zawiodłem (rozpieczętowuje — czyta po cichu, przytem twarz mu się zmienia — w końcu ociera łzy!...). No, teraz zdaje mi się jestem dość uzbrojony; hiobowych wieści, aż za dużo.. ale i czuję jakąś siłę!... Idealny pokost teraz chyba już zlazł zupełnie... Zostać mogła tylko — zmysłowa rozkosz!... Zobaczę...

czym dość silny zmysłowość zwyciężyć... muszę jej spojrzeć oko w oko!... A ponętna ona, ach jak ponętna!... A tak się darzy, może raz pierwszy i ostatni!...

Nie może być inaczej!.. Skoro leczyć mam drugich, muszę sam najpierw być pewnym zdrowia!... Pijak pijakowi nie uwierzy w zbawienność wstrzemięźliwości, chyba, że doradca przestanie się upijać!...

Więc idźmy do niej!... Jeżeli zwyciężę... wezmę się do ciebie biedny chłopcze..., tyle przynajmniej odpłacę się twemu bratu Józefowi...

Jeżeli padnę..., stracę wiarę w siebie i pomoc Bożą!... Bez wiary, trudno brać się do jakiegokolwiek dzieła... Bez wiary... cele życia wszystkie mi zgasną... jeden chybaby pozostał... namiętność. — Taki cel, to żaden... to sprawca, coraz nowych brudów, a nawet zbrodni!...

Gdy padnę... wówczas przycisnę i ja ciebie do piersi... ty sześciostrzałowy grabarzu dekadenckich — złamanych istnień!

(Ogląda rewolwer)

Więc idźmy!

ZASŁONA SPADA.

ODSŁONA VI.

SCENA I.

Pomieszkanie nauczycielek.

(Bronisława — w otoczeniu dzieci bardzo biednych, które siedzą przy stole. Dwoje czyta, dwoje pisze zadania, dwoje najstarszych naprawia sukienki, dwoje najmłodszych buduje z klocków).

BRONISŁAWA (w tonie macierzyńskim, ale stanowczo).

Dzieci dziś czysto się umyły i ubrały! Spodziewam się, że tak będzie już zawsze!
Czytaj dalej Zdzisiu!

ZDZISIA. (pokazując w elementarzu). Fa-so-la.

BRONISŁAWA.

Jadłaś kiedy fasolę?

ZDZISIA.

Jadłam, mama do barszczu gotuje.

BRONISŁAWA.

Widzisz tu może fasolę na stole?

ZDZISIA (bierze ziarnko fasoli).

Proszę Pani!

BRONISŁAWA.

To masz ziarnko, a tu w wazonku roślinę. Tylko jej się tak w wazonku nie sadzi, lecz gdzie?

ZDZISIA.

W ogrodach!

BRONISŁAWA.

Czytaj dalej.

ZDZISIA.

Sa-dy są ko-ło do-mu.

BRONISŁAWA.

Wikcia niech swoje pisze, tu nie zagląda. Koło twego domu, w którym mieszkasz jest także sad, — jakie tam rosną drzewa?

ZDZISIA.

Jabłka, gruszki, śliwki i wiśnie!

BRONISŁAWA.

Dalej Anielciu!

ANIELCIA.

So-wy la-ta-j-ą no-cą.

BRONISŁAWA.

Popatrz jeszcze raz w książce na obrazek sowy. Coś czytała o sowach?

ANIELCIA.

Że latają!

BRONISŁAWA.

A kiedy?

ANIELCIA.

W nocy latają sowy.

BRONISŁAWA.

Opowiem wam więcej kiedyś o sowach. Przyniosę wam nawet wypchaną sówkę. Zdzisia i Anielcia książeczki zamkną, wezmą tabliczki i rysiki i napiszą to, co czytały.

Zobaczę jak wyrobiły rachunkowe zadanie Wandzia i Wikcia.

Wandzia przeczyta to, co napisała.

WANDZIA.

$7 \times 4 + 23 = 51$ (siedem razy cztery, a dwadzieścia trzy jest pięćdziesiąt jeden).

BRONISŁAWA.

Jak liczyłaś?

WANDZIA.

7 razy 4 jest 28, a 20 jest 48, a 3 jest 51.

BRONISŁAWA (bierze zadanie Wikci).

Wikcia ładnie — wyraźnie pisze... błędu nie ma (przechodzi dalej). Jakże moje robotniczki idzie wam?... Ładnie, bardzo ładnie. Widzicie, tak zawsze, tak, — jak tylko zaczyna się co trochę drzeć... naprawić, bo potem coraz trudniej... Dam wam za to sukienki nowe na wielkanoc, bo potraficie już szanować, ażeby nie potrzeba było często łatać, a jak koniecznie się zdarzy, to sobie poradzicie? Prawda? (głaszcze je).

HELA.

Potrafimy, bo dobra pani nas nauczyła!

BRONISŁAWA.

Jak tylko zechcecie uważać, to was więcej nauczę. A cóż wy boby tu budujecie?

CESIA.

Ja domek!

GENIA.

A ja — most!

BRONISŁAWA.

A kto w Cesinym domku mieszkać będzie?

CESIA.

Jakby był duży, to mieszkaliby tatko, mamcia i ciocia Bronisława.

BRONISŁAWA.

Dałabyś mi ładny pokoik, co? i dość duży, ażeby jeszcze więcej dzieci przychodzić mogło do mnie — co?

CESIA.

Największy! (pieści ją).

BRONISŁAWA.

Silny most Geniusiu? .. O — i szeroki — wozy mogłyby wygodnie jechać i mijać się. — A teraz jeszcze dziateczki przejdziemy się — jak zwykle — po pokoju!... Wstać wszystkie! W szereg się ustawić (wykonują). Czyj to obraz?

DZIECI (chórem).

Mieczysława I.

BRONISŁAWA.

Co on zrobił dla Polski?

DZIECI.

Wprowadził wiarę chrześcijańską!

BRONISŁAWA.

A na litwie kto zaprowadził tę wiarę? Hela powie.

HELA.

Na Litwie zaprowadzili wiarę chrześcijańską Jadwiga i Jagiełło!

BRONISŁAWA.

Czy są tu ich obrazki?

DZIECI.

Są!

BRONISŁAWA.

Pokaże Wandzia! (Dziewczynka występuje z szeregu i pokazuje pałeczką). Dzieci kochają królowę Jadwigę — o której wam opowiadałam?

DZIECI.

Bardzo kochamy królowę Jadwigę.

BRONISŁAWA.

A jest tu jeszcze jaki obrazek, gdzieby był król Jagiełło?

DZIECI.

Jest.

BRONISŁAWA.

Pokaże Jadwisia i powie co on przedstawia?

JADWIGA.

Krzyżacy przynoszą Jagielle dwa miecze przed bitwą pod Grunwaldem.

BRONISŁAWA.

Ukarał pan Bóg ich pychę?

DZIECI.

Ukarał, bo zostali pobici.

BRONISŁAWA.

Chodźcież dziatki przed obraz Zbawiciela i Matki Boskiej częstochowskiej — pomodlimy się, by i teraz opiekował się Pan Bóg polskim narodem naszym i wami dziateczki moje!

(Klękają i powtarzają za Bronisławą pierwszą zwrotkę pieśni „Serdeczna matko“).

„Serdeczna Matko, opiekunko ludzi,
Niech cię płacz sierót do litości wzbudzi,
Do Ciebie dzieci wygnane wołamy,
Zlituj się, zlituj, niech się nie tułamy!“

(Po skończeniu).

Teraz dziatki wezmą sobie każde bułeczkę i jabłko, książkę i zeszyty i pójdą grzeczniutko do domu, a jutro przyjdą znowu o wyznaczonym czasie!

(Dzieci ustawiają się w pary, przychodzą przed Bronisławę, która staje przy drzwiach, całują ją w rękę i wychodzą).

SCENA III.

(Wchodzi Kamila).

KAMILA.

No, moja Broniu, myślałam, że to się ze zmianą pomieszkania skończy, tymczasem znowu te bachory nałażą, a tobie, choć ich masz tyle w szkole — jeszcze chce się w domu uczyć... Niechby tem zajmowały się panny czy damy z towarzystwa, mające czas na filantropię — jeśliby której z nich chciało się z zasmarkanymi i obdartymi bębnami zadawać sobie trudu!...

BRONISŁAWA.

Słyszałam już te argumenty twoje Kamilciu, a ty moje odpowiedzi... Sama sobie zresztą odpowiadasz, mówiąc: „jeżeliby im się chciało", ja dodam, że musiałyby umieć i mieć wytrwałość... Możeby były takie, któreby chciały, ale to tak samo ze siebie nie przychodzi, trzeba nauki zachęty, przykładu! Wierzaj mi — w wielu bardzo razach nie dzieje się źle ze świadomej złej woli... ale z braku prawdziwego poznania! Nim się rzeczy lepiej ułożą, nim będzie tyle szkół, żeby w s z y s t k i e dzieci uczyć się mogły i nim wszyscy rodzice zrozumieją, że nauka jest koniecznym chlebem duchowym, bez którego półczłowieka tylko żyje, nim t a k i e czasy nastaną: dziś jeszcze, kto umie, niech za dziesięciu robi, niech się swą robotą sam narzuca, nie pytając — czy ma już dość, czy to jego obowiązek, czy nie?... Zwłaszcza któż się tak biedną i wy-

dziedziczoną przez los dziatwą zajmie, która nie ma książek, nie ma sukienek, nie ma kawałka chleba nieraz na dzień, której trzeba to wszystko dodać do nauki?!... Kto, jeżeli nie serce kobiety?!... Muszę jednak bronić moich dzieci: nie są one ani zasmarkane, ani brudne, ani obdarte..., a że są także grzeczne — nie zaprzeczysz, bo się wszystkie z tobą pewnie serdecznie witały... te lube, uśmiechnięte twarzyczki!...

KAMILA.

Że te nie są brudne i obdarte, przyznaję, ale toś ty zrobiła, a jakie one przyszły?... Że są grzeczne dziś — także prawda — ale czy to nie było jak z lasu? Nie umiało ani siedzieć, ani stać, ani patrzeć, ani poprosić, ani podziękować.

BRONISŁAWA (całując ją).

Ależ wprawiasz mię w największą dumę, droga Kamilciu, i tak chyba — nie przekonasz mię, bym zarzuciła ten brzydki nałóg... Mam nadzieję, że i ty się w końcu zarazisz odemnie.

KAMILA.

O co to, to nie! Zostawiam już te altruistyczne uczucia, komu one jak tobie przyrosły do serca, albo kto chce niemi grać komedyę dla rozgłosu... Poco mam udawać coś, co mi jest zupełnie nie do gustu? Robię już dość w szkole, aż nadto dość...

BRONISŁAWA.

A czy ty nie widzisz w tem także narodowej sprawy?

KAMILA.

Być może, ja także jestem nie najgorszą patryotką... ale nie każdy ma swój patryotyzm jednakowo objawiać.

BRONISŁAWA.

Nie będziemy się o to sprzeczały! Zapewne, można w różne sposoby służyć dobrym sprawom, jedną z najważniejszych jednak, zdaje się, była i zostanie sprawa wychowania i nauki: dla nas Polaków jest ona dziś czemś w rodzaju „być, albo nie być".

Ale przejdźmy do czego innego — nie wiele mam czasu, a chciałabym koniecznie z tobą o tem pomówić?

KAMILA.

Jak tylko tak zaczynasz, już przeczuwam, że jakaś burza będzie. — Bronko jedyna, ja ci nie zaprzeczam — ty jesteś aniołem, ale takiemi wszystkie być nie mogą, a przedewszystkiem ja — wcielony dyabeł... Ty wielką miłością mogłabyś człowieka zadręczyć na śmierć.. Musiałam coś znowu zrobić, a tobie to nie daje spać, że może będziesz odpowiadać za mnie na sądzie ostatecznym... No... no... ale dla ciebie to już przywdzieję pokorę i słuchać będę, jak długo zechcesz!

BRONISŁAWA.

Istotnie śmiej się ze mnie ile chcesz, a ja swego powtarzać nie przestanę. Jak długo z tobą mieszkam i świadomym świadkiem jestem, czuję się odpowiedzialną, podobnie ty jesteś odpowiedzialną za mnie. (Kamila uśmiecha się). Zresztą to i sprawa mego serca, które od szkolnej ławy przywiązało się do ciebie i nie pozwala mi z tobą się rozłączyć. — A jednak...

KAMILA.

Cóż takiego?

BRONISŁAWA.

Już mi było ciężko... bardzo ciężko... widzieć i przenieść to, co dotychczasowi gospodarstwo nasi, Kłopoccy, przez nas ponieśli... Przecież Józefowi stała się bolesna krzywda, a brat jego Gustaw... no, boję się o tem pomyśleć... O nie mów mi nic Powiedziałam ci, że przez wiarę Bóg mi daje czasem zrozumienie różnych spraw, o których zdawałoby się — nic nie wiem. — Doszło do tego, że trzeba się było wyprowadzić; dotrzymałam ci i tym razem wspólnictwa, tem bardziej, że go potrzebujesz więcej niż kiedy.

KAMILA.

Jeżeli żałujesz tego... wróć się do Kłopockich!

BRONISŁAWA.

Nie! nie żałuję tego, tylko boję się... bym nie żałowała, jeśliby to się na nic nie przydało.

Kłopockich i tak odwiedzam, ze względu szczególnie na tego biednego młodzika, którego po prostu — strzegę! — No, i panu Józefowi trzeba trochę balsamu: już samo to, że niosę mu ze sobą ślady twego oddechu, koi go i krzepi... Sili się udawać spokój, ale ja go pojmuję.

KAMILA (z pewnem uczuciem).

A czy ja wiem dlaczego ludzie ciągle przezemnie cierpią?

BRONISŁAWA (biorąc jej rękę).

Moja Kamilciu droga, ty wiesz — wiesz bardzo dobrze, ale nie masz sił opanować siebie. Kokietujesz na wszystkie strony... rozbudzasz niezdrowe pożądania i namiętności. a są jeszcze tacy ludzie, co z tego cierpią... Ty jednak — jak gdyby nigdy nic nie było — przechodzisz do porządku dziennego i szukasz nowych ofiar. A z profesorem co? A z żoną jego? Czy łzy tej biednej, może trochę gorączkowej kobiety, nie-palą twego serca?

KAMILA (porywczo).

Ona mię dość naobrażała!

BRONISŁAWA.

Jakto! zaprzeczysz może, że się myliła co do twoich zamiarów i uczuć jej męża? Jakto — więc widząc, co jej grozi miała ci za to dziękować może?... A przecież... Ona ci gościnnie otworzyła dom, gdy inni pewne skrupuły oka-

zywali; uwierzyła ci, broniła wszędzie i pragnęła połączyć z Józefem, sądząc, że dogadza twoim zamiarom... Może tak nie było?... Cóż doznała od ciebie w zamian? Zechciej policzyć, coś domowi temu zgotowała? Mąż, żona, dziecko, służąca, każde dziś gdzie indziej!...

KAMILA.

Et! dziecińshwa, Kazimierz, to przecież nie Gustaw... Człowiek doświadczony, rozumny, poważny, żonaty, mógłby być dla mnie mistrzem, nie żebym ja odpowiadała za jego postępki... Jesteś niesprawiedliwą, bo nie uwzględniarz, że może i mnie serce zabiło, że ja przy tem mogę wyjść najgorzej! Czemu profesora nie winisz tylko mnie?

BRONISŁAWA.

Tego nie powiedziałam! On nie jest bez winy! On powinien był znaleść pozory, choćby nie najgrzeczniejsze, niewidywania się z tobą wcale, jeżeli czuł, że mu zagraża twoja zalotność. — Swoją drogą — natura poetyczna, wrażliwa, a ty misternie umiesz grać na słabostkach ludzkich. Zagrałaś na jego skłonnościach estetycznych, na jego dumie poetyckiej, na jego sercu, tęskniącem za ideałami; umiałaś to wszystko pozornie dać mu w sobie odnaleść, — no — i stało się!

Byłaś atakującą, że ci zaś schlebiało, że schlebiać mogło uwielbianie człowieka, istotnie niezwykłego i rzadkiej szlachetności, wierzę,

ale nie bardzo wierzę, byś się aż naprawdę zakochała!

KAMILA.

Właśnie, wiedz, że go kocham! kocham, kocham!

BRONISŁAWA.

To mogłoby cię usprawiedliwiać trochę w sumieniu, tem ci jednak gorzej dla ciebie — dla twego serca, bo się musisz wyrzec tej miłości!... Albo — ja się stanowczo z tobą rozstanę!

KAMILA.

Bardzom ci wdzięczna, że tak bez ogródek mówisz, bo i mnie wolno użyć tej samej metody! — Mówiłam ci to nieraz, że ja mam moją własną wiarę, wiarę mojego rozumu. czy — jeżeli chcesz — filozofię. Moja filozofia powiada mi, że człowiek, który może poraz pierwszy targnął naprawdę mojem sercem, jest najprawdopodobniej i — ostatnim, przy mej naturze. Takiego człowieka, chcę przykuć do siebie, czem tylko potrafię, a o dobrowolnem zrzeczeniu się go — ani myślę... Że w danym razie rozstać byśmy się musiały, to naturalne, bo jeżeli on zechce tylko, a ja go kusić będę, jak szatan — ja pójdę za nim i żyć będę z nim!... Taką jest moja filozofia! On dziś ma tu do mnie przyjść, dziś się sprawa rozstrzygnie; gdyby nie przyszedł pójdę do niego...

BRONISŁAWA.

O moja Kamilo! Ty jesteś straszną! Ja ci tylko to jedno jeszcze powiem: krytycyzm rozumu, ażeby sięgał aż Boga i najwyższych zasad moralnych, należy do potężnych myślicieli — urodzonych filozofów. — To ich talent, który im stwórca dał, nim oni pracować mają, chcą i — muszą! Nim, choćby błądzili, odkryją jednak światy nowe dla życia duchowego, posuną naprzód myśl ludzką!... Ale nam, mniejszym braciom i siostrom — wystarczy filozofia mniejsza, bardziej do rzeczy — mniej abstrakcyjnych — przystosowana. Moralność naszą i uczucia najwyższe czerpmy z wiary, sercem pojętej... Niedofilozofowana filozofia, którą my wchłaniamy najczęściej z licznych powieści i poezyi, zostawia nas zazwyczaj w połowie drogi samych i zupełnie bezradnych, albo — w wielkiej nibyto pewności swojej, a w gruncie — płytkiem pojęciu — prowadzi prosto i bez skrupułu — w przepaść. — Kto ogółowi religię — zastąpić chce filozofią, usuwa mu z pod nóg ląd stały, a z nad głowy słońce: puszczając go natomiast na fale morza wzburzonego — bez żadnego kompasu... Z tobą dzieje się nie lepiej... Miałam jeszcze ciągle nadzieję; dziś widzę jednak, że muszę już wyciągnąć najsilniejszy mój argument, ten, który zostawiałam sobie na koniec: ja stanowczo — czy tak, czy owak twoja gra się skończy — wyprowadzę się od ciebie!... Bądź zdrowa! (ubiera się i odchodzi).

SCENA III.

KAMILA, potem SŁUŻĄCY.

KAMILA.

E i ja będę wolała, gdy raz się już pozbędę tego zwierciadła, które mi tylko duszę moją, i to poplamioną i rozczochraną zawsze pokazuje. — Wolę widzieć swoje ciało, w zwykłem szklannem, milczącem zwierciedle, albo w zwierciedle kadzących mi czcicieli... (na chwilę wchodzi za zasłonę łóżka i pojawia się w przebraniu bardzo zalotnem; przeglądając się). O tak! Ty kochana moja szybo lustrzana, tyś stokroć lepsza od moralizującej przyjaciółki! O zrób mię! zrób dzisiaj tak piękną, by sama wenus mityczna mogła mieć we mnie rywalkę... Gdybym wiedziała, jak się mam przebrać do niego, by klęczał u nóg moich. Nie! nie! to nie dość! Niech spocznie w ramionach moich tak długo, jak długo to uszczęśliwiać będzie! Potem... a cóż mię potem obchodzi?... ktoby sobie psuł rozkosz rozważaniem, co potem będzie?

Sprzykrzymy się sobie — będziemy szukali innych przyjemności... to potem! (słychać pukanie). Ach! to on! (zmięszana trochę). Ja? ja doznaję wzruszenia jak pensyonarka? A to co? Kamilo! (słychać powtórne pukanie). Zapominam — daję mu długo czekać! (otwiera drzwi i spostrzega expressa z bukietem, małym pakuneczkiem i listem w ręku, zdziwiona) Może to od niego? Jak to tłómaczyć? (pyta się). Do mnie?

EXPRES.

Pani Kamila Słocicka.

KAMILA.

Tak! to ja! a od kogo?

SŁUŻĄCY.

Pani dowie się z listu.

(Kamila chwyta list — waha się chwilkę — wreszcie odbiera wszystko od służącego, dając mu zadrogę. Służący odchodzi).

SCENA IV.

KAMILA.

Pismo nie jego! (otwiera list i czyta). „Pani! Na ostatnim balu olśniony zostałem twą pięknością. Zazdrościłem w duszy każdemu twemu tancerzowi, tembardziej, że wskutek spóźnienia nie mógłem uzyskać u pani żadnego tańca... Jeżeliś była łaskawą zwrócić uwagę na marną osobę twego niewolnika, to przypomnisz go sobie może właśnie z tej nieszczęsnej dla niego odmowy. Ale nie wierząc bardzo tak przelotnemu zdarzeniu wśród tylu wrażeń wieczoru, starałem się od tego czasu zjawiać się pani w drodze, o ile tylko dowiedzieć się mogłem, którędy i kiedy ci ona wypada. Byłaś pani na tyle uprzejmą, żeś raczyła popatrzeć parę razy na mnie, a we wzroku twoim dostrzegłem — może mylnie — jak gdyby pobłażliwość, za uwielbianie, które pewnie biło z mych oczu!

W każdym razie — gniewu, pogardy, niechęci nie znalazłem tam, chyba jestem zupełnie niezdolnym psychologiem...

Ośmielony tem — pieszcząc swą wyobraźnię rajskiemi nadziejami — zdobywam się dziś może na krok zbyt śmiały, by królowej serca, bo nią już jesteś pani dla mnie, przesłać ten mały znak poddaństwa.

Adam".

Nazwisko nieczytelne, coś niby „Z" na początku... Kto to może być? Czy ja na jednego tak patrzę? Latają za mną różni. — Odmówiłam na balu nie jednemu... Ha, mam w zapasie nowego wielbiciela! Dobrze, że Bronki nie było, a może źle, bo ona by mi nie pozwoliła przyjąć prezentu od nieznanej osoby. — Ja tak skrupulatną nie jestem; to ostatecznie nie wiąże mię do niczego. Ja przecież z czoła nie mogę wyczytać służącemu od kogo przychodzi... Choćbym zaś chciała zwrócić, nie wiem komu!

A może to Kazio użył podstępu... może tam opieczętowane jego nazwisko?... Może w ten sposób udowodni mi jaką jestem?

(Rozpakowuje szybko pakunek). Mała, ładna kasetka (otwiera) kolczyki, bransoleta i broszka!... Jakie śliczne!... Nie, d a r e m n i e się przelękłam, gdzieżby taka natura, jak Kazimierza, chwytała się podstępów!... Nie, nie, przepraszam cię mój Kaziu! Jak chętnie ustroiłabym się w te klejnoty do ciebie, ale gotówbyś się zapytać skąd? No, gdyby wiedział — przepadłaby jego miłość!!

Ale bukiet — bukiet zostawię, bo przecież kwiaty mogłam dostać w szkole od uczennic! Podrażnię go tylko nim na żart trochę; ale nie, nie, mogłaby nadejść Bronka i zdradzić mię; schowam! (ukrywa kwiaty, przytem spojrzała w okno). Ach idzie!...

Co tu robić najlepiej?!...

Siądę do fortepianu i grać będę jego melodyę ulubioną (siada i zaczyna grać „Marzenie Chopina“).

SCENA V.

Kazimierz wchodzi i zatrzymuje się, zasłuchany, blisko drzwi, podczas gdy Kamila poczyna śpiewać słowa do wspomnianej melodyi.

KAZIMIERZ.

Jaka piękna, jaka królewsko wspaniała, jaka obdarzona kobieta!... szkoda, szkoda!

KAMILA (nie przestając grać, przechyla głowę w tył, patrzy tak na Kazimierza i uśmiecha się doń z najwyszukańszym wdziękiem).

KAZIMIERZ.

Śliczna, łabędzia szyja... uśmiech kusicielski! O rzucić się, przysłonić jej oczy, — całować tę szyję, całować... (pohamowuje się widocznie, przechodzi mimo grającej i staje naprzeciw niej, przyczem się lekko o fortepian opiera).

KAMILA (przestaje grać po chwili).

O jakąż niebezpieczną mam rywalkę w tej melodyi!... Przemienia mi w żywy posąg ko-

chanka mego, a ja napróżno czekam, kiedy ramionami otoczy mi szyję... Mogłabym — jak drugi Orfeusz — zaklinać muzyką niewinność w nasze stosunki!

KAZIMIERZ.

Gdyby między nami mogła być wogóle niewinność!

KAMILA.

Wyrzuty! Od ciebie wyrzuty? Nie dość tej wstrętnej obmowy powołanych i niepowołanych, nie dość wiszącego nademną sumienia w postaci nieubłaganej Bronki? Jeszcze i od ciebie wyrzuty — może nawet w duszy i potępienie!? Tak prędko! Za to, żem ci dała i dać gotowa rozkosz — stać się wszystkiem — czego odemnie zechcesz?!...

KAZIMIERZ.

O czemuż mię rozbudziłaś tak prędko z tego zadumania nad tobą i nad sobą, które — przy twej muzyce — przenosiło nas — w mej wyobraźni — po za te nizkie, realne nasze stosunki, — w kraj piękny, słoneczny?! Czemuż tak prędko przypomniałaś mi cel właściwy, dla którego tu przyszedłem?!... Ale to lepiej, bo gdy tak patrzę na ciebie... odrywam wszystko, co było i jest z tobą złączone — a biorę cię samą — zadumaną w tych dźwiękach przetęsknych: gotówbym przysiądz, że ty masz serce, które może drgać ogromnem szczęściem i ogromnym bolem!... Gotówbym przysiądz, że ty możesz być

tak dobrą i wierną naprawdę, jak umiesz udawać i gotówbym uledz nowemu szałowi, którego końca — gdy tu nas jest samych dwoje, w tej pachnącej różami atmosferze, nie możnaby przewidzieć!

KAMILA.

Fe, Kaziuniu! (przykłada mu rękę do czoła). Ciebie może głowa boli? rozchmurz się przecież!... Chodź! chodź! — siądź sobie tu przy mnie, blizko! (Kazimierz automatycznie się poddaje). Oprzej głowę na mych piersiach (układa ją, bawiąc się jego włosami). Biedna, skołatana moja głowa, taka myśląca wiecznie głowa!... (szeptem). Dobrze ci tak, szczęście moje? (Całuje go w głowę).

KAZIMIERZ (zrywając się).

Nie! nie, nie! Nie wiele brakowało, a byłbym pocałował pierś twoją!... A ten pocałunek, byłby mnie kosztował życie i kilka żyć innych!... Nie, przez Boga, toby było za wiele nawet i na twoje sumienie!

Nie! nie przyszedłem tu po grzech... po zakazane szczęście, ale po skruchę i pokutę!

KAMILA.

Czy ty się nie boisz być nudnym Kaziu?

KAZIMIERZ

Chociażby!... Chcę ci najpierw odpowiedzieć na twą ideę... wyrażoną w liście!... Odrzucasz sakramentalne, a podnosisz naturalne — z miło-

ści — związki. Dajmy na to: to jednak ci naturalni małżonkowie powinni zawierać je wolni i czyści! Ja nie jestem takim, a ty? jestżeś ty czystą?!

KAMILA.

Obrażasz mię... czy to honorowo?!

KAZIMIERZ.

Nie, moja droga, nie o obrazę mi chodzi, tegobym nigdy nie zrobił, ja z dowodami przyszedłem!

Lecz na to czas! nie odbiegajmy od rzeczy!... Małżonkowie tacy powinni być wolni i czyści, tak, jak do ślubu sakramentalnego, a dodam, że ślub sakramentalny żąda i — miłości. — Nie ma więc różnicy w warunkach, mogłaby tylko być... niepotrzebna ceremonia...

Ci naturalni małżonkowie mieliby naturalne dzieci, coby i nas czekało, gdybyśmy — pomijając już warunki pierwsze — weszli w naturalne małżeństwo. Co miałoby się stać z temi dziećmi?

KAMILA.

Wychowalibyśmy je, jak najlepsi rodzice!

KAZIMIERZ.

Zgoda, ale nie będziemy żyli na puszczy; ja np. przestanę tobie imponować, ty nie uciszysz wspomnień moich o żonie, o Zosi i innych co do ciebie samej — i — przestaniemy się kochać, a nawet zaczniemy się nienawidzieć,

a takby się mogło stać z każdem naturalnem małżeństwem, prawda?

KAMILA.

Być może, ale to i tak dzieje się aż za często.

KAZIMIERZ.

Ba, ale tu na tem się nie kończy; — naturalne małżeństwo w takich warunkach nikogo nie będzie obowiązywało. Powiemy sobie, żeśmy się pomylili w sądzie, iż od urodzenia do siebie należymy, co więcej, wyszukamy sobie każdy z nas nowe — wrzekomo należące do nas — indywidualności i potworzymy nowe naturalne małżeństwa... Może być, że nam z tem będzie dobrze i przyjemnie... a dzieciom naszym?... Przeszłyby one do legii dzieci bezdomnych, bez nazwy, których los dla serca prawdziwego człowieka stanowi jedną z tych kwestyi, że się chce krzyczeć z bolu... albo niemieje z rozpaczy... Ile z nich wyrasta zbrodniarzy i rozpustnic Bogu tylko wiadomo, jak i to, jaka część tylko zostaje przy życiu! Z naturalnemi małżeństwami trzebaby przyjąć do zasad i dzieciobójstwo, albo chyba wspólne wychowanie w jakich publicznych zakładach, gdzieby rolę przybranych matek spełniały takie Bronisławy!... Sakramentalny związek, widzisz, moja Kamilo, nie ma na celu chuci rodziców, lecz rodzinę i wychowanie dzieci dla społeczeństwa... Co ludzie z niego robią — to inna rzecz, — nie biorą religii sercem, więc i nie mają łaski Bożej; — czynią sobie ze sa-

kramentu interes, więc on interesem, formą zostaje... Nie, nie mogę zgodzić się na twą teoryę... i zostanę przy mojej żonie, a twój list (zapala świecę na fortepianie) spalę, bo jedynie na to zasługuje (rzuca go w piec i po chwili): Już popiół z niego i tak samo i z naszych stosunków.

KAMILA.

Dobrze więc — zatem — zostaw mię w spokoju! (oburzona, wstaje).

KAZIMIERZ (lekko zniewalając ją do usiądnięcia i sam naprzeciw siadając).

O nie! to nie wszystko! Wszystko musisz usłyszeć! Filozofowie wpadają na różne pomysły — pewnie, że w dobrej woli uszczęśliwienia człowieka. Gdyby przy pomysłach pozostać... mniejsza... ale inni — niefilozofowie — chwytają się zastosowania w praktyce... i to np. co do twojej osoby zachodzi. (Kamila objawia zdziwienie).

Proszę cię, moja droga... zachodzi. Pomijam, że ten spalony list był dokumentem, który mógł mieć skutki między nami także realne, ale mam tu inny list (wyjmuje list Henryka). Proszę cię — przejrzyj go, proszę — ten krótki ustęp...

KAMILA (bierze list).

Za co mię tak dręczysz? (przegląda i upuszcza, zakrywając sobie twarz rękami).

KAZIMIERZ (podnosząc list).

O gdyby tak było, że twoje serce się skrusza!... Choć ci pomięszam zapach róż swędem papieru spalonego — pozwolisz, że i ten akt spalę w oczach twoich i daj Boże, by się tak spaliły złe popędy w twem ciele przez zapanowanie ducha nad nimi (spala list Henryka).

KAMILA.

Daruj mi, panie profesorze — daruj! Tyś człowiek szlachetny, ty zrozumiesz położenie młodego dziewczęcia, na które czyhają legiony złych duchów, by je zepchnąć z drogi cnoty!... Czy można się obronić zawsze mimo największych wysileń! O miej litość, pomyśl, że i ty masz dziewczę, którego losu przewidzieć nie zdołasz, gdybyś umarł, jak mój ojciec i matka przedwcześnie umarli (pada mu do nóg).

KAZIMIERZ (podnosi ją).

Ależ pani nie znajdzie bardziej wyrozumiałego człowieka odemnie!... Dziewczę niewinne, młode, zwiedzione łotrostwem zwyrodniałego donżuana, szukającego zbrodniczej przyjemności, nigdy w mych oczach nie zasługiwało na pogardę, owszem na jak najszczersze współczucie. Zdrowe społeczeństwo powinno owszem mężczyznę, który zdeptał podstępnie prawdziwą cnotę, uważać za wyrzutka i — bez honoru. — Przypuśćmy, że taki wypadek zdarzył się u pani, to było obowiązkiem twoim nadal już nigdy nie upaść!... Tymczasem... kto tak kokietuje, kto

potrafi grać tak komedyę, że... aż się rumienię, gdy to mówię, że rzuca sobie pod nogi człowieka, który powinien mieć rozum, człowieka żonatego, człowieka, na którego postępki patrzą młodzi jak w obraz: ten traci prawo, by mu wierzyć, iż dawniej nie kokietował, iż sam pierwszego upadku i innych potem nie sprowadził. O, serce boli... ale niestety trzeba powiedzieć, że pani należysz do liczby tych kobiet, które bywały nałożnicami i metresami wielkich, a jak tak nie idzie, to — zwykłemi nierządnicami.

KAMILA.

Przestań pan, jesteś w moim domu, zechciejże o tem pamiętać.

KAZIMIERZ.

Choćbyś mi drzwi pokazała — nie wyjdę, aż wszystkiego nie powiem. Może ci nikt tego nie powie już więcej!...

Czyś pani kiedy myślała nad tą kwestyą? Sławne nałożnice to były wielkie potentatki... Ile niesprawiedliwości, ile wyzysków, ile kłamstwa, ile matactw, ile łez i przekleństw ciąży na ich cudzołożnem życiu: możnaby zaledwie w części dowiedzieć się z ich historycznych monografii....

Szatan na świecie nie mógł lepszej wspólniczki znaleść od rozwiązłej, zalotnej, zdolnej i pięknej kobiety... Jest w niej coś, co ludzi formalnie hypnotyzuje, ubezwładnia ich energię, ujarzmia twórczość, zacieśnia pogląd: wszystko

po za sobą w szarą bezbarwną szatę apatyi przyodziewa!... Ona staje się słońcem i celem wszystkich, których w swój krąg zaczarowany wciągnęła... Takich więcej, a przepadnie postęp, praca, bezstronność, popędy wzniosłe, sumienie i pokój... Całe społeczeństwo zakazi gangrena i zje je, jak rdza żelazo... Zdrada małżeńska, zgorszenie i upadek młodzieży, odstępstwa od idei i przekonań, marnotrawstwo czasu i mienia, to zaledwie część skutków tej gangreny!..

O, człowiek to czuje, a jednak — do kata — a jednak — pada! (przerywa... milczenie głuche).

KAZIMIERZ (ponownie).

Milczysz pani? Pani nie byłaś u władzy, a spojrzyj coś tu już tylko zrobiła? Powiesz, że do mnie należało — mieć rozum, że ja ciebie powinien byłem przestrzedz... Prawda i dla tego błagam cię nie wciągaj faktu mojej słabości w rejestr uprawnień swych do błędu! I ten trzeci list, który przyniosłem ze sobą, a który jeżeli chcesz — czytaj (kładnie przed nią), nosić będę przy sobie jako palące wspomnienie upadku, gdybym kiedy żałował — ach bo ta bestyalska natura w człowieku bywa taką — gdybym kiedy żałował, żem się całej z tobą nie oddał rozkoszy!

KAMILA (zachodzi się spazmatycznym płaczem).

To straszne, co mi pan mówi. Chciałoby... się umrzeć! Pan sam obsypywałeś mię potokiem słów olśniewających, pan sam paliłeś mię oczami, wpatrując się w moje, całe długie nie-

raz chwile i jakby zaklinając: kochaj mię, oddaj mi siebie! — Pan ściskałeś mi rękę tak przenikliwym uściskiem, że od stóp do głów przechodziło mię drżenie rozkoszne!...

Pan czytywałeś, bywałeś wesół, to znowu smutny w mojej obecności, albo ja już wiem co jeszcze: a wszystko to wiało takiem ciepłem ku mnie, taką tajemniczą siłą!... Pan sam podnosiłeś mą piękność, mój talent, moje wszystkie przymioty, byłeś tak czułym — troskliwym — uprzedzającym, żem słabła przy tobie z przesłodkich wrażeń, żem w płacz wpadała bez przyczyny — z przepojenia tobą i tej myśli, żeś nie moim, nie moim! O, chyba trzebaby powiedzieć, że i mężczyźni podobni panu, ci poetyczni, tęskni marzyciele, ci błyskawicami dowcipu i polotu myśli władnący półbogowie, że ci chyba także mieliby sobie dość na sumieniu kobiecych ramion, które dla nich dały się pociągnąć w zakazane stosunki!

KAZIMIERZ.

Dziękuję ci pani, że mi jeszcze raz przedstawiłaś moją winę względem ciebie, dziękuję ci szczerze! Tak — tak było niestety... ale... było — przez panią!... Pani byłaś mistrzem... ja dzieciakiem starym w tej grze, której jednak uczyłem się szybko, aż za szybko!... A serce moje naprawdę biło i tęskniło — naprawdę wierzyło w Panią!... Pani zaś... chcę wierzyć, żeś wzruszeń doznawała, nie myślę, że nie były one takiemi jak mówisz, ale to były dla ciebie

tylko wonne, przyjemne kąpiele, po których czułaś się błogo i pozostawałaś zresztą sobą... Że zaś tak jest, żeś ciągle była lekką, dowodem, żeś równocześnie bawiła się Józefem... Pani nawet nie masz na usprawiedliwienie, żeś za mąż wyjść nie mogła. — Tyle biednych dziewcząt — dobrych dziewcząt — ciężką pracą od nędzy i upadku chronić się musi..., ledwie do ust co wziąć mają, a wykształceniem ani równać się im z panią i nie znajdą niestety małżonków, albo jakichś nieraz, których lepiej by nie znalazły były! A Pani?...

A przecież zanim pani mię opanowałaś, ja sam doradzałem ci wyjść za Józefa i żona moja. Mniejsza jednak o to — to jest kwestya serca i lepiej tak się stało, jeżeliś go nie kochała... nie trzeba tylko igrać z człowiekiem!... Ale pani jeszcze nie było dość!...

(Kamila patrzy zdziwiona).

KAZIMIERZ.

Pani musiałaś rozkochać i studenta! O tak, tak, studenta — nazywa się Gustaw Kłopocki i myśli się z rozpaczy teraz zastrzelić!...

KAMILA.

A pan profesor rozciąga policyjną władzę nad swą młodzieżą?

KAZIMIERZ.

Policya, proszę pani — uczuć nie wyśledza — tylko fakta! Uczucia spowiadają się same

dobrowolnie!... Ludzkość — co prawda — nie ma na winy pani takiej kary, jaką n. p. karze złodziei, morderców i podpalaczy. W dziedziny takie, jak twoje, ludzkość nie chce wkraczać: ale nie drwij sobie dlatego z prawa, przyjdą na cię cięższe chłosty... chłosty moralne! Przyjdą — dałby Bóg — i na twoje — zimne — samolubne — serce i schylą tę próżną głowę, że nie będzie mydlić światu oczu miną niewinną i pewnem siebie spojrzeniem... Dałby Bóg, by przyszły, by ślad swój wyryły zmarszczkami na czole, by się rzuciły siwizną na włosy, by płaczem połowę nocy ci odbierały, aż się oczyścisz, aż się poprawisz!

.... Biada ci, jeżeli nie, bo... jeszcze raz powtarzam — zostaniesz w końcu — nierządnicą.

KAMILA.

Panu bo się zdaje, że już nią jestem, i że pan przemawia w domu nierządnicy... Zdaje się, że mi pan wszystko już zapłaciłeś, co mi się należało. Daruje pan, ale zapytam go, czy, gdybym miała ojca, brata, albo kogo, ktoby się za mną ujął — przemawiałbyś pan tak do mnie?...

Czy jabym panu nie mogła rzucić w twarz: żeś nikczemny!...

KAZIMIERZ.

Jakże pani się myli! Gdyby żył ojciec, czy brat pani — może nie przemawiałbym tak — nie z bojaźni jednak — lecz dla tego, że to ich byłby obowiązek. — Ale dziś — ja mam do tego prawo za krzywdy najbliższych

i obowiązek jako człowiek!... Jak zaś nikczemny jestem to pozna pani z tego, że nawet w prawdziwej nierządnicy jeszcze człowieka szukam i szanuję... Wstydzę się po prostu za ludzkość, że potrafi tak całą falangę kobiet i bliźnich swoich zepchnąć niżej zwierząt... Żeby po dwóch tysiącach lat nauki Chrystusa, która głosi równość ludzi — jako ludzi — jeszcze ten niecny handel żywym towarem istniał i to nawet zorganizowany, uprawniony w pewnych granicach; to jest coś, co człowiekowi, gdy o tem myśli, wyrywa z piersi skargę: po co było na ten podły świat przychodzić!?... Tak, moja pani, jestem nikczemnym, że i w tem powiedziałbym za Chrystusem: „kto z was jest bez grzechu?“ Ale... Magdalena się nawróciła!...

Kończę już pani!...

Wiesz po co przyszedłem... mogłem się nie pokazać więcej... po to, ażeby siebie doświadczyć, czy ci się oprę. Ale to byłoby zbyt samolubne, a więc jeszcze po to, ażeby ci wszystko powiedzieć dla ciebie samej.

Boże drogi, gdybyś pani chciała mi wierzyć, jak mi żal szczerze ciebie! Boś ty przecież w sercu mojem była!... O moja droga Kamilo! Usłuchaj mego głosu, nie namiętnego kochanka, ale najbardziej ludzkiego przyjaciela...

Moja droga Kamilo! jeszcze czas, jeszcze wszystko może być dobrze, tylko nawróć z drogi! Rzuć ten przeklęty bukiet róż za okno! nie przyjmuj darów i hołdów tych gogąt przeróżnych i bądź tem, czembyś być mogła — ozdobą

twej płci!... Bądź mi zdrowa, nasze dzieje ze sobą skończone! (całuje jej rękę z uszanowaniem i współczuciem). A teraz do ciebie Gustawie i żono!!

(Wychodzi).

KAMILA.

Nareszcie! To straszne! Że ja to przeżyłam.
(Rzuca się na sofę, zakrywa twarz rękami i wpada w płacz spazmatyczny, a potem śmiech!).

ZASŁONA SPADA.

ODSŁONA VII.

SCENA I.

Pokój u profesorstwa.

KAZIMIERZ (sam czyta).

„Jeszcze żyję... nie mam odwagi umrzeć, jakże to jednak przykro żyć z uczuciem, że się jest na świecie zawadą. Ja wiem, że pragnąłbyś, bym ci utorowała drogę do poślubienia jej, jej, która króluje w twych myślach. — Czekaj trochę, niech się powoli oswoję z cieniem grobu. — Myślę o tem po nocach i o tem, jak wy tam szczęśliwi jesteście — i spać prawie nie mogę. Jeszcze od czasu do czasu na łzy się zdobędę, ale modlić się... Jakże się modlić, gdy w sercu wre przekleństwo i pragnienie zemsty — nie na tobie, biedny mój, — nie, lecz... ty to wiesz... Do tego... wstyd mi, spotykam tu dużo znajomych, pytają się: czego, do kogo przyjechałam? — jak długo zabawię? Wykłamuję się jak mogę, szczególnie potrzebą ratowania zdrowia... Nie lubię dlatego wychodzić, ale... muszę... Mój pokoik ciasny, smutny, z za jednej i drugiej

ściany dochodzą głosy: muszę zaczerpnąć trochę powietrza, zobaczyć słońca i idę — najczęściej na cmentarz! Są tu i tacy, którzy, jakgdyby domyślali się czegoś, nie wiem skąd... i półsłówkami wybadują...

Czasem chciałoby się sądzić nawet, że jakichś próbują zabiegów — głupcy! Ludzie są ludźmi — rozciekawia ich to, co może mieć za cel przebywania — sama, samiusieńka kobieta w dużem mieście, nie chodząc ani na uniwersytet, ani do roboty żadnej — ani jej do siebie nie biorąc... Co za cel? Ja się sama też pytam... co za cel? Gdy o tem myślę... Ale... albo trzeba umrzeć, albo... szukać zajęcia, aby był cel! Chwała Bogu, że szyć dość umię...

Słodka, dobra Bronisława, ona i tu o mnie pamięta — pisała do mnie. — Jej słowa są jedyną moją pociechą i nadzieją. Jednak to kiedyś, a — dziś?... Co ja przez całą noc robić będę?...

Pomyśl sobie o tem jakiego wieczora, po otrzymaniu mego listu, a może poświęcisz, choć jeden, mnie milami dalekiej od ciebie — a nie jej — tak bliskiej, ach czy nie za... bliskiej!

Bądź zdrów, nie doznawaj nigdy tych uczuć, które mi teraz serce rozdzierają.

Twoja żona

Marya".

KAZIMIERZ (kładąc list).

Stało się... pokutowaliśmy oboje... bardzo, bardzo, ale to się nam przyda: skrystalizujemy

się wyraźniej w naszych poglądach, zasadach... uczuciach...

Ból ma swoją wartość, to po wszystkie czasy przyznawano! przyszedł... spadł prawie... wstrząsnął do głębi... ale... zdaje się... długo już nie potrwa!... Tak moja Maryniu!... (pukanie).

SCENA II.

(BRONISŁAWA wchodzi ze swoją służącą i z Kasią).

BRONISŁAWA.

Przyprowadzam Panu zgubę.

KASIA.

O panie dobry, jak mi żal było. Zrobiłam źle, ale przepraszam... tego już nie będzie... A bez państwa i panienki ckno, choć płakać ciągle... Nawet nie szukałam nigdzie jeszcze innej służby, bo myślałam taki sobie, że pan Jezus mię nawróci do państwa... Aż tu ta dobra pani wchodzi i pyta... żal wam? A coby nie! To chodźcie ze mną, bo pani przyjeżdża, służąca potrzebna... Alebo inna i państwu nie byłaby ani taka obrotna i znajoma w domu, ani wierna i rzetelna.

KAZIMIERZ.

A Kasia nie wie, że ja nie poganin i zawziętości nigdy nie mam... Jak kto uzna winę i poprawi się — daruję: byle poprawa była trwałą...

Toż ja służącej nie chciałbym nigdy odprawić; niechby była, aż dokąd życia, — albo może Kasia za mąż wyjdzie, to weselisko sprawimy... No, jak pani przyjedzie i powie, że jest postęp, to się podwyższy płacę Kasi...

KASIA.

Złote panisko (całuje go w rękę). Mogę iść do kuchni? do mojej kuchni?

KAZIMIERZ.

A naturalnie! (Kasia odchodzi). (Do Bronisławy) Serdecznie pani dziękuję za jej trud uprzejmy! Proszę, niechże pani usiądzie!

BRONISŁAWA (siadając).

Proszę Magdusi na mnie chwilkę zaczekać u Kasi... Zaraz pójdziemy na miasto (służąca odchodzi).

KAZIMIERZ.

Już początek zrobiony, już się moja głusza zaczyna przerywać. Miała pani może list od mojej żony?

BRONISŁAWA.

Chciałam właśnie panu powiedzieć. Dziś dostałam; pisze pani, że się tak cieszy listem pana i moim, że nie ręczy, czy telegraficznie nie przyjedzie. Ale dlaczego pan nie ma listu? (pukanie).

KAZIMIERZ.

Pewnie w tej chwili puka listonosz... Proszę! (wchodzi listonosz i oddaje Kazimierzowi dwa listy).

KAZIMIERZ.

Już dziś jeden czytałem, ten dawny! Pozwoli pani...

BRONISŁAWA.

Ależ proszę!

KAZIMIERZ (czyta głośno).

„Jedyny! Czy mogłeś wątpić? Dziś będę! Zawsze twoja Marya“... Krótko... ale dobrze!... Pozwól pani, niech ci szlachetną dłoń uścisnę, żeś ją do naszej sprawy przyłożyła, zwłaszcza do kojenia serca Maryni — tu i tam, w jej samotni.

BRONISŁAWA (podaje mu rękę).

Ale pan ma drugi list!

KAZIMIERZ.

To od Henryka, mego przyjaciela — nic pilnego. — Coś się naraz rozpisał, czas mi zabiera na czytanie i odpisywanie.

BRONISŁAWA.

Tak się pan egoistycznie maluje. Proszę, niech pan przeczyta!

KAZIMIERZ (rozpieczętowując, ale nie czytając).

Łatwo w uspokajaniu się mojem mógłbym zapomnieć, że mi na sercu jeszcze jedna, nagląca sprawa leży... Jak jest z Gustawem? Pani pewnie tam była — Czy on wie może co o stosunkach, które spowodowały wyjazd mojej żony?

BRONISŁAWA.

O wyjeździe pani wiedzą wszyscy, ale... dobre imię coś znaczy — nie przypuszczają, nie chcą wierzyć złym wieściom. To też nie sądzę, by Gustaw więcej coś wiedzieć i przypuszczać mógł, zwłaszcza on, który tak głęboko jest przywiązany do pana!...

To dobre imię państwa osłania i Kamilę dotychczas.

KĄZIMIERZ.

Boże! jaką człowiek hazardowną grał stawkę. Nawet i dobre imię na długo starczyć nie może!... A przyjdzie Gustaw?

BRONISŁAWA.

Powiedział, że stawi się u pana profesora. Jest ciągle niepewny: zaczyna się przynajmniej na mnie patrzeć jak na człowieka i uznawać, że na świecie oprócz niego i jego wybranej są jeszcze jakieś istoty żywe. — Swoją drogą, to bardzo dobry chłopiec!... Nie wiem, czy pan to uważał, jak często młodzi ludzie, którzy czuć umieją, wielkie swoje uczucia do kobiety nieopatrznie umieszczają... A przecież to szkoda takim skarbem rozrzucać, który już może nawet w tej potędze i barwie nie wróci! Coby to mogło być, gdyby ten pierwszy, gwałtowny puls szlachetnego serca, na serce tak samo bijące trafił i z niem się zespolił. — Mielibyśmy dopiero idealną rodzinę, z której źródła płynąłby strumień życia jasny i użyźniał glebę społeczną

wszystkimi swymi skarbami w całej rozwiniętej pełni.

KAZIMIERZ.

To jest temat rozległy... na który dałoby się tomowe rozprawy pisać. Może nie mielibyśmy wówczas na świecie najpiękniejszych lirycznych pereł literatury, może niejeden geniusz takim ogniem na orła się pasuje: ale — to pewna, że łamie się niejedno pożyteczne istnienie, zachwiewa niejeden pogodny pogląd na świat. Zdaniem mojem jednak, nie stracona to rzecz, gdy takie uczucie przez serce ludzkie przeszaleje, bo czy szczęśliwie, czy nieszczęśliwie się skończy: serce uszlachetni!... Ja np. ubolewam nad naszą młodzieżą nieraz, która — nie ze swojej winy — lecz stosunków dzisiejszych, na które się składają i domowe wychowanie i sztuka i literatura i teatr i prasa i Bóg wie ile innych odrębnych w szczególnych wypadkach czynników, że młodzież dzisiejsza nie jest młodą, zawczasu się starzeje. Jednym z najfatalniejszych zaś objawów tego starzenia się, to stosunek do płci drugiej. O miłości, tej idealnej, prawie świętej, jaką dawniej dwie istoty do siebie odczuwały, prawie mowy nie ma... Jakaś wkradła się dziwna niedelikatność, śmiała, — pewna siebie — powiem impertynencka — poufałość, a w końcu czasem nawet wyuzdana rozpusta. — Jeżeli nawet pojawi się prawdziwa miłość, — jak np. u Gustawa, to i ta wnet nabiera tonu zmysłowego!... Ręczę, że ten chłopiec odrazu

uścisków i całusów pragnął — no i kto wie, czy nie bez skutku!?...

Albo choćby mój kolega Henryk — od którego mam ten list — przeżył lata... bez wstrząśnień... i — z rwącego się do wyżyn młodzieńca — zrobił się wygodny, szlafrokowy śmiertelnik, ta bierna poczciwość, co to tak długo jest poczciwą — jak długo nie trzeba swego ja fatygować, niczem z wygodnej jego kolei wyruszyć.

BRONISŁAWA.

Kto tak widział swego przyjaciela obmawiać?

KAZIMIERZ.

Przed panią można wszystko.

BRONISŁAWA.

Ale ja muszę już iść, rozgadaliśmy się za długo! Pewnie lada chwila pan Gustaw nadejdzie, a i moja Magdusia nie należy do najcierpliwszych istot.

KAZIMIERZ.

Ale pani będzie dziś jeszcze u nas, aby początkom nowego życia naszego zaświeciła dobra gwiazda.

BRONISŁAWA.

Ależ wyjdę na powitanie pani, naturalnie! jeżeli zaś szczera — głęboka życzliwość dla kogoś, kto na nią w całej pełni zasługuje — może się nazywać — dobrą gwiazdą, to... jestem nią

pewnie dla państwa (otwiera drzwi i woła). Magdusiu! proszę, pójdziemy! (wchodzi służąca).

KAZIMIERZ.

Co to pani z takim koszem do miasta chodzi?

SŁUŻĄCA.

A bo to panienka do miasta tylko na kupno? Ta to zaraz po różnych rodzinach biednych, tych dziecisków, co do nas do domu przychodzą, a tym to, a tamtym tamto, a też i dla małych i bułek i owoców i na sukienki. — Ten kosz, to jeszcze za mały. Aj coby to było, jakby panienka miała wielki majątek!

KAZIMIERZ.

Za rok by go nie było!

BRONISŁAWA.

Pan tak pewnie nie myśli jak mówi! Wtenczas dopiero możnaby porządne dzieło rozpocząć i zrobić je dziełem! Ale niech każdy robi, co może, a całość sama się złoży! Dzięki Bogu i za to!

KAZIMIERZ.

Nie chcę profanować słowami tego, co czuję, widząc i słysząc panią!

BRONISŁAWA.

No! no panie profesorze, bo się pogniewamy. (Żegna się i odchodzi ze służącą).

SCENA III.

KAZIMIERZ.

Pan Bóg zsyła takie promienne istoty na świat, by człowiek wiary nie stracił... Doprawdy, to dziwne, czemuż ja się w niej nie zakochałem, lecz w tamtej?... Gdyby nie było innych dowodów, ten już wystarcza... Tamta ciągnie... by tracić głowę dla niej, ta jasnym swoim wzrokiem tak czystą odsłania do głębi duszę, a przy całej słodyczy i łagodności, taką siłę niezłomną, że trzebaby być ostatnim cynikiem i zuchwalcem, ażeby się świętokradzko targnąć na nią!... Zdaje mi się, że i w takim razie, potrafiłaby zuchwalca onieśmielić i uprzytomnić jednem odezwaniem się: Przyjacielu po coś przyszedł? (Pukanie do drzwi). Proszę!

(Wchodzi Gustaw).

SCENA IV.

KAZIMIERZ i GUSTAW.

KAZIMIERZ.

A — przyszedłeś — jak się miewasz drogi Gustawie? Siadaj, proszę! (wskazuje na krzesło). Palisz! Nie, ty nie palisz — bardzo dobrze: oszczędzasz zdrowie, a zdrowie nam bardzo potrzebne, prawda Guciu?

GUSTAW.

Kochanowski powiada „szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie — jako smakujesz, aż się ze-

psujesz“ — a Mickiewicz porównując zdrowie z Litwą, to samo twierdzi. Zresztą, skoro pan profesor tak mówi, mnie studentowi, trzeba wierzyć. Doświadczenia nie mam, bo dotychczas nie chorowałem, chyba jeszcze w dzieciństwie, czego nie pamiętam.

KAZIMIERZ.

Bardzo jesteś dokładnym w odpowiedzi — tak, jak was przyzwyczajam w szkole. Tu jednak mój młody przyjacielu przestań myśleć, że masz do czynienia z profesorem; — jesteś u mnie w domu — moim zaproszonym i kochanym gościem. Nie chcę też i ślepego poddawania się twego sądom moim, jako profesora: Owszem radbym słyszeć samodzielne twoje zdania, a nawet pytania... Mogę się tego od ciebie spodziewać, jako ucznia ósmej klasy — i do tego bardzo dobrego ucznia. Ale — do rzeczy — wiesz dlaczego mówię, że trzeba nam zdrowia? bo dużo, dużo mamy do zrobienia, a robota w braku zdrowia ciężko idzie!...

Ty mię rozumiesz, co myślę przez to, że mamy dużo do zrobienia?

GUSTAW.

Nie byłbym uczniem pana profesora, a przynajmniej bardzo miernym.

KAZIMIERZ.

Ślicznie mój drogi — pochlebiasz mi, ale od was pochlebstwo idzie z serca i miłe jest. No, kochany przyjacielu, ale, ażeby coś zrobić,

przy zdrowiu, trzeba obrać pracę — zawód, a tobie o tem czas pomyśleć. To był cel moich zaprosin ciebie. — Tak zwykłem robić z moimi uczniami ósmej klasy, że rozmawiam z nimi o ich zawodzie, ich zamysłach na przyszłość... Na akademię trzeba iść zdecydowanym. Jakże z tobą mój Kłopocki? będziemy filozofem, czy medykiem — czy technikiem, a może teologiem?

GUSTAW.

Otwarcie powiem panu profesorowi, że nie myślałem nad tem; trochę się wstydzę tego... Matka chciałaby, bym poszedł na prawa, bo to otwiera widoki do urzędów różnych, do karyery. Mnie na urzędzie nie zależy — nie pokładam w tem ambicyi...

KAZIMIERZ.

Dzielny z ciebie młodzieniec!

GUSTAW.

Ale... doprawdy — nie myślałem jeszcze — jakoś mi to obojętne było — zwłaszcza w ostatnich czasach — tyle nauki! Matka i ojciec mówią, ja słucham, ale ani tak, ani nie, nie odpowiadam — bo nie myślę.

KAZIMIERZ.

Trzeba, trzeba Guciu! No, więc jak? — będziemy filozofem — czy — może teologiem?

GUSTAW.

Teologiem? A — co to, to nie! Do tego trzeba mieć stanowcze powołanie; być księdzem

i nie kapłanem zarazem, ale rzemieślnikiem, czy urzędnikiem? Nie!

KAZIMIERZ.

A wiesz mój chłopcze, żeś bardzo dzielny! Widzę, że ty się oczerniasz, boś ty więcej myślał nad bardzo poważnemi rzeczami, niż wielu innych w twoim wieku... Są i inne zawody bardzo piękne, bardzo szczytne — wymagające także koniecznie powołania, ale godność duchowna, to niezawodnie ta, którą inaczej się profanuje!

GUSTAW.

Czy pan profesor pozwoli być szczerym?

KAZIMIERZ.

Owszem zupełnie, jak z przyjacielem. Widzę, że się ożywiasz i to mię cieszy, bo przyszedłeś trochę skwaszony. Jak najotwarciej mów, pytaj — co chcesz!

GUSTAW.

Ale pan profesor mię nie wyśmieje!

KAZIMIERZ.

Dziecko drogie, kimże byłbym! Czyż ja nie jestem waszym ojcem? Czy może podejrzewasz, że ja co złego wobec ciebie zamierzam? Jesteście mi okiem w głowie, jesteście apostołami przyszłymi i moich nauk, przez was chcę i mojemi słabemi siłami dźwigać, jak mogę, nasz naród polski i miałbym się wyśmiewać z otwartości młodego

serca, które mi się chce zwierzyć? Nie, drogi synu!

(Gustaw całuje w rękę Kazimierza, który się wzbrania).

KĄZIMIERZ.

Dajże pokój!

GUSTAW.

Pozwól, panie profesorze, pozwól mi mój Ojcze! A komuż, jeśli nie tobie się otworzę? Moje usposobienie ostatnich czasów — jest dziwne — smutne — przykre. Nie dlatego nad zawodem nie myślałem, że mam się uczyć dużo, ja i uczyć się nie mogę! Nie myślałem, bo myśleć nie pozwala ból — prawie rozpacz! Ten ból czyni mię obojętnym na wszystko, do czego się nie odnosi... Ten ból... zachwiewa nawet... moje religijne usposobienie, moją wiarę!... nawet...

KAZIMIERZ.

Zradza myśli samobójcze...

GUSTAW.

Skąd pan profesor o tem wie?

KAZIMIERZ.

Synu drogi! skąd wiem? Ze siebie, ze swego życia! Chciałem ci ułatwić tylko wyznanie? Cóż to myślisz, że ty tylko posiadasz patent na bole? Synu drogi, dlatego, że sam dużo — dużo cierpień przeszedłem — patrzę na ciebie ze szczerem współczuciem i słucham cię bez żadnego zdziwienia lub oburzenia!

GUSTAW.

Tak, istotnie, myśli samobójcze mię dręczą! Czy w takim stanie serca i umysłu — możnaby iść na teologię?

KAZIMIERZ.

Zapewne, że nie, synu, ale nawet na jakikolwiek inny wydział byłoby źle z tem. Musimy się leczyć... Daj no mi twój puls chłopcze!

(Bierze go za rękę i patrzy mu czule w oczy).

Wiesz, albo ja jestem bardzo złym lekarzem, albo — tyś się zakochał...

GUSTAW.

Pan profesor już wie wszystko!

KAZIMIERZ.

Coś tam trochę gadali twoi serdeczni koledzy... Nie gniewaj się — najlepsi to w świecie chłopcy i z nimi powinieneś przyjaźń na całe życie zawiązać! Ale, jabym ci to był powiedział także z mego życia...

GUSTAW.

Tak, zakochałem się!

KAZIMIERZ.

To bardzo dobrze drogi chłopcze! Uczucie w młodym wieku jedno z najszlachetniejszych pod słońcem, jeżeli jest czyste... Boli trochę, boli, bo nie jesteśmy pewni wzajemności, czasem i różne inne skrupuły przychodzą, z których ludzie — tak zwani rozsądni — się śmieją.

Zakochałeś się, to o cóż ci chodzi? dlaczego rozpacz? Cóż to, jeżeli panienka młoda — poczeka — skończysz kursa, ożenisz się z nią i wszystko będzie dobrze!...

Naturalnie na teologię nie pójdziemy!...

GUSTAW.

Zakochałem się nieszczęśliwie, a skoro koledzy mówili panu profesorowi coś, to pewno powiedzieli i w kim.

KAZIMIERZ.

Coś trochę, ale oni sami pewni nie są... Prawda, synu kochany, że to trochę rzecz zmienia, ale... wiesz ty, co taki dzielny, dobry, szlachetny chłopak powiada sobie?... — Ale uwierzysz mi — czy tylko będziesz myślał, że ci zapisuję receptę, aby zapisać?!

GUSTAW.

Wierzę! wierzę!

KAZIMIERZ.

Powie sobie: stało się, ale trzeba, żeby się odstało — i odstać się musi! Wierzysz mi?

GUSTAW.

Wierzę, choć siły nie czuję.

KAZIMIERZ.

Wiara daje siły! Odstać się musi! Taki dzielny chłopak sobie pomyśli: być z tego nic nie może, bo ja o wiele młodszym jestem, na-

wet młodziutki, nic nie mam, z czegoby żyć można, a za to dużo, dużo przed sobą zadań, które, gdybym porzucił — byłbym...

GUSTAW.

Tchórzem i zdrajcą! Ja to już sobie mówiłem.

KAZIMIERZ.

Złoty chłopiec jesteś — jabym był nie mógł ci tego przedławić. A do tych zadań trzeba się jeszcze przygotować przez gorliwą pracę nad nauką! W tej nauce, miłość taka, z której nic być nie może, która jeszcze zazdrością ciągłą może tylko niepokoić... byłaby niepokonaną przeszkodą! A więc wybieraj między czemś, co jest niczem, a nawet gorzej, bo złem, a czemś, co może młode siły rozwinąć i uderzyć niemi w czynów stal!

GUSTAW.

Nie może być wątpliwości, co lepsze i rozumię, ale...

KAZIMIERZ.

Czy to się da myślisz? Tak dzielny i rozumny i zdolny chłopak, jak ty, który nie należy do liczby tych dekadentów, co to już wszystkiego użyli, znajdzie siłę w sobie z pewnością. Wierz mi, drogi Gustawie! On powie sobie: Co u licha, czy to ja mam być gorszy, niż inni, niż tylu innych, niż n. p. mój pan profesor, który do mnie teraz mówi, a który także, gdy był

młodym jota w jotę to samo prawie przechodził. Tylu się nie dało, tylu się wyleczyło i są dziś pożytecznymi ludźmi, a ja miałbym paść? I dlaczego? — nie byłoby to nędznem? Jak sobie tak powiesz — będzie dobrze.

Zaczniesz zaglądać znowu coraz częściej do książki, która jest jedną z najlepszych przyjaciółek, zaczniesz znowu z kolegami dyskutować więcej i żyć z takimi dobrymi kolegami — zaczniesz mniej myśleć, a szczególnie chodzić i szukać spotkania z ukochaną...

GUSTAW.

Pan profesor i to wie?

KAZIMIERZ.

A cóż ty myślisz smarkaczu, że mam głowę do pozłoty? — to są proste konsekwencye! Jakim byłbym wychowawcą?

Powiem ci nawet, że pewnie wieczorami stajesz naprzeciw jej okien, jeżeli są frontowe?

GUSTAW.

Frontowe.

KAZIMIERZ.

A widzisz, tak, i patrzysz tam, czy się ona w nich nie pokaże, a przynajmniej światło, ażebyś wiedział, że jest...

GUSTAW.

Ach tak!

KAZIMIERZ.

No, widzisz chłopcze! To są tortury, które męczą i nic nie przynoszą! Zostawią ci tylko

trochę poezyi w sercu, to jedyny dobry skutek! Ale to już wystarczy to, co masz i z tego napiszesz jaki tomik...

Może nawet już piszesz?

GUSTAW.

Piszę.

KAZIMIERZ.

No widzisz! Wszystko to rozumiem, ale musisz pomału, kropla, po kropli od tego odwykać — od tego chodzenia pod okna itp. Albo wiesz co? przyjdź pod moje okna, a nawet wejdź do mnie. Ja cię wezmę w objęcia — wysłucham twoich żalów, pokrzepię, nauczę... i jakoś to Pan Bóg da, że przyjdziemy do siebie! Widzisz, że wiem wszystko, no i nie huczę na ciebie, jak piorun!

Przyjdziesz?

GUSTAW.

Ach, ojcze drogi! Panie profesorze — czcigodny! (płacze, całuje go kilkakrotnie w rękę).

Przyjdę, przyjdę, jeżeli tylko mi wolno!

KAZIMIERZ (całuje go w czoło i ociera łzy).

No, a tymczasem żegnaj i szanuj życie na lepsze rzeczy! Jak będzie trzeba je dać, wtenczas daj bez wahania! Ojczyzna nie umarłych, ale żywych potrzebuje!... Naszą rozmowę o zawodzie odkładam na najbliższy czas np. w niedzielę, bo dziś żona moja przyjedzie lada chwila i trzeba mi już iść na dworzec...

A byłeś już dzisiaj pod oknami?...

Przyznaj się!

GUSTAW.

Byłem!...

KAZIMIERZ.

No to na dziś już dość, prawda — nie pójdziesz już dziś?

GUSTAW.

Nie pójdę!

KAZIMIERZ.

A za to trochę przypomnisz sobie książkę?

GUSTAW.

Dobrze, panie profesorze.

KAZIMIERZ.

Kłaniaj się rodzicom, bratu odemnie uściśnij rękę... Bądź zdrów, a po drodze... wstąp do kościoła!... Choć tam powiadasz coś o zachwianiu wiary, ale — Boga w sercu masz! (pożegnanie — Gustaw odchodzi).

(Kazimierz patrzy na zegarek).

KAZIMIERZ.

Ach, całkiem się spóźniłem! (chce wyjść szybko, tymczasem wchodzi żona z Bronisławą i posługacz przynosi pakunki, które zostawia, a sam wychodzi zaraz).

SCENA V.

(Kazimierz podchodzi, żona chwyta jego rękę i całuje gorąco; Kazimierz przyciska ją do piersi i tak dłuższy czas niemo pozostają, przyczem żona płacze rzewnie. Bronisława usuwa się na bok).

KAZIMIERZ (po długiej pauzie — głosem jeszcze wzruszenie zdradzającym).

Musiała ci panna Bronisława wyjaśnić,... dlaczego mimowoli się spóźniłem i nie wyszedłem na dworzec. — Miałem bardzo ważną sprawę do załatwienia, a ta się trochę przeciągnęła.

MARYA.

Wiem, to nic, — dobrze, (przechodzi do Bronisławy) ach to mój anioł złoty! (obejmuje ją i całuje).

KAZIMIERZ.

Nasz Maryniu, ale to za mało! Wszystkich, których pozna!

MARYA (uśmiechając się przez łzy).

Co ty za list trzymasz w ręce Kaziu?

KAZIMIERZ.

Ach ten list nie ma szczęścia. Dostałem go jeszcze przy pannie Bronisławie i dotychczas nie mogłem go przeczytać... To list od Henryka!

MARYA.

Bardzo poczciwy i rozumny człowiek!

KAZIMIERZ.

A pani jak sądzi? Bo u Maryni dzisiaj wszyscy będą świętymi!

BRONISLAWA.

Krótko bardzo widziałam pana Henryka; w każdym razie zasługuje aż nadto na to, aby jego listy czytano nie dopiero na drugi dzień, albo i później.

KAZIMIERZ.

Siadajmyż moi państwo, do takiej uczty! Henryku, co za zaszczyt?! (otwiera i czyta). „Kochany Kaziu! Zdziwisz się, co się stało, że list po liście piszę teraz, podczas, gdy dawniej lata w milczeniu między nami mijały. Nawet nie przestrzegam formy, by wyczekać na twą odpowiedź. — Coś się we mnie trochę zmieniło od pobytu u was! Pytam się, kto był głównym tego sprawcą i nie mogę sobie dać dokładnej odpowiedzi. Chcę jednak koniecznie stosunek z tobą nieprzerwany utrzymać. Donoszę ci tedy, iż adres mój się zmieni. Dostałem urlop, a przytem bardzo korzystną misyę górniczą w Rumunii od towarzystwa akcyjnego angielskiego „Wiktorya". O tem skąd mię to zaufanie spotkało — opowiem ci później, może nawet ustnie. Chciałbym bowiem być u ciebie jeszcze przed wyruszeniem do tej pracy, która potrwa ze 3 miesiące. Poluję wogóle za złotem runem — tj. majątkiem, ale nie przez małżeństwo, lecz dla małżeństwa. Mówiłem ci już, że chcę się ożenić... a nawet teraz

mam już dość jasne wyobrażenie, jakby żona moja wyglądać miała i fizycznie i duchowo. — Takiej trzebaby dostarczyć środków jak najwięcej, ażeby jak najlepiej jej rękami mogły być włodarzone.

Żegnam Cię serdecznie i do widzenia.

Twój Henryk.

Pani Dobr. rączki ucałuj.

„P. S. Czy u was bywa stale panna Bronisława? Co to za rzadka kobieta! Na tyle lalek, które już wychodzą z mody i emancypantek różnych, które wchodzą w modę, to taka emancypantka, którą by można wziąć za jeden z najlepszych wzorów nowoczesnej kobiety".

.... Henryk doprawdy rozumny człowiek! Czołem przed nim!

BRONISŁAWA.

Moi Państwo! Proszę mi nie prawić takich grzeczności...

Dobry autor — o ile słyszałam — nie bywa kontent nawet z dzieła, któremu dają ogólny poklask — chyba z tego tytułu mogłabym się zbliżać do takiego typu, gdyż istotnie nigdy z moich czynów skromnych nie jestem zadowoloną, mimo wszelkich pochwał. Czuję w nich wielkie, wielkie braki!

(Wbiega Kasia).

SCENA VI.

KASIA.

Ach moja pani złota... przyszłam z miasta i widzę kufry podróżne... „Pani przyjechała“ mówię sobie. A no idźże się przywitaj!

(Chwyta rękę Maryi i całuje kilkakrotnie ze szczerością).

MARYA.

Przyjechałam moja Kasiu, ale ty wiesz, że ci się zaraz wtrącę we wszystko, a to przykro, co?

KASIA.

Et, co tam, na świecie nie niebo! Idę nastawić samowar zaraz (odchodzi).

MARYA.

Jednej małej osóbki nie spostrzegam, z którą przywitałabym się chętnie — możebyśmy Kaziu poszli do niej?

KAZIMIERZ.

Do Zosi, jeżeli tylko możesz — zdrożona i nie wypoczęta — to owszem — ucieszy się dziecko niezmiernie.

MARYA.

Ktoby mówił o trudach drogi, gdy trudy serca znikły; znowu się jest w swoich dobrych, serdecznych, czterech ścianiach... A pani może także zechce pójść z nami?

BRONISŁAWA.

Zrobiłabym to chętnie, lecz już obowiązek woła.
Wola czy niewola
Czyń obowiązek, bo to ludzka dola!
Nim się zapełnia każda życia karta,
Gdy nie — przemocą musi być wydarta!
Przed ludzkiem okiem strzępy ukryć da się.
Lecz w księdze życia — Bóg braki wymierzy,
Dlatego odbić czas — trzeba tu — w czasie,
Nim los twój mety granicznej dobieży!

KAZIMIERZ.

Treść obowiązku, tak zimną z pozoru
Niech ciepło serca, łaska cnót popiera:
Podług boskiego Zbawiciela wzoru!
I niech za życia nikt już nie umiera,
Choć wiele win mu cięży na sumieniu.
Niech na anielskiem oprze się ramieniu,
A może przecież i tam się zakradnie
Ziarno żywota i już nie przepadnie!

MARYA.

Oby doświadczeń nie zmarniały ciosy
Podnoszę modły me teraz w niebiosy!
Z modlitwą żal mój niech także zaginie,
Ku czyjejbądźby kierował się winie.
Bom i ja winną — i wiem, jak mi trzeba
I przebaczenia — i pomocy z nieba!

KONIEC.